

SZEPCZĄCY W CIEMNOŚCIACH



I

Proszę pamiętać, że w końcu nie widziałem nic strasznego. Jednakże stwierdzenie, że wstrząs umysłowy stał się przyczyną tego, co sugeruję - że był ostatnią kroplą, która przechyliła szalę i dlatego właśnie wypadłem z osamotnionej farmy Akeleya i zabranym samochodem pomknąłem przez dzikie kopulaste wzgórza w Vermont - to zignorowanie najbardziej oczywistych faktów mego ostatniego doznania. Choć widziałem i słyszałem te tajemnicze rzeczy, choć wciąż żywo odczuwam to wrażenie, jakie na mnie wywarły, nawet teraz nie mogę udowodnić, czy moje wnioski są słuszne, czy nie. Bo przecież samo zniknięcie Akeleya jeszcze nic nie znaczy. Nie znaleziono w jego domu nic podejrzanego poza śladami kul wewnątrz i na zewnątrz domu. Wyglądało to tak, jakby wyszedł sobie na przechadzkę w góry i po prostu nie wrócił. Nie było nawet śladu, że jakiś gość mógł się tam pojawić albo że te straszne cylindry i aparaty znajdowały się kiedykolwiek w jego gabinecie. Że się bał śmiertelnie skupionych gęsto zielonych wzgórz i sączących się bez kresu potoków, pośród których się urodził i wychował, to też nic nie znaczy; taki lęk może być spowodowany tysiącem przyczyn. Ekscentryczność jest chyba najbardziej wiarygodnym wyjaśnieniem dla jego dziwnego zachowania i lęków.

A wszystko zaczęło się jeśli chodzi o mnie wraz z historyczną niespotykaną dotychczas powodzią w Vermont 3 listopada 1927 roku byłem wtedy, podobnie jak i teraz, wykładowcą literatury na Miscatonic University na Arkham, Massachusetts, i z amatorstwa pełnym entuzjazmu badaczem folkloru Nowej Anglii. Wkrótce po powodzi, pośród licznych artykułów w prasie na temat biedy, cierpienia i organizowanej pomocy, pojawiły się dziwne wzmianki o jakichś przedmiotach unoszących się na wezbranych rzekach. Rozmaici moi przyjaciele, ogromnie zaciekawieni, prowadzili dyskusję na ten temat i w końcu zwrócili się do mnie z prośbą o wyjaśnienie tej sprawy. Pochlebiło mi, że tak poważnie traktują moje badania nad tutejszym folklorem i zrobiłem co mogłem aby zbagatelizować te szalone, tajemnicze opowieści, które zdawały się przerastać najstarsze wiejskie przesady. Ubawiło mnie że nawet kilka wykształconych osób twierdziło, iż u źródeł tych wieści muszą się kryć jakieś tajemnicze zniekształcone fakty.

Opowieści, które zwracały moją uwagę, dotarły do mnie głównie przez prasę choć jedna historia została mi przekazana ustnie, a opowiedział mi ją przyjaciel, któremu matka mieszkająca w Hardwick, Vermont, opisała ją w liście. Dotyczyła właściwie tego samego wydarzenia, jakie opisywano w prasie, tylko że można w niej wyodrębnić jakby trzy etapy - jeden łączył się z Winooski River koło Montpelier, drugi z West River z okręgu Windham za Newtane, a trzeci miał miejsce w Passumpsic, okręg Koledonia nad Londonville. Było jeszcze wiele ubocznych wątków i etapów, ale po przeanalizowaniu wszystkie sprowadzały się do tych trzech etapów. W każdym z tych przypadków wiejscy ludzie donosili, że widzieli jakieś dziwne i niepokojące przedmioty na wezbranych rzekach płynących z niedostępnych gór i zaczęto je łączyć, z prostymi i prawie już zapomnianymi legendami, które teraz ożyły w opowiadaniach starych ludzi.

Wszyscy byli przekonani, że widzieli jakieś żywe istoty, których jeszcze nigdy nie spotkali. Oczywiście w tym strasznym okresie płynęło po rzekach wiele ciał ludzkich, ale te, które opisywali, nie należały do rodzaju ludzkiego, choć wielkością i ogólnym kształtem trochę nawet jakby przypominały ludzi. Nie mogły to być także, jak twierdzili naoczni świadkowie, zwierzęta znane w Vermont. Owe kształty miały kolor różowawy, a długość jakieś pięć stóp; całe ich ciało pokryte było skorupą, na grzbiecie znajdowały się dwie ogromne płetwy albo

bloniaste skrzydła i cały szereg zginających się w stawach kończyn, atakrze coś w rodzaju zwiniętej elipsoidy, pokrytych niezliczoną ilością krótkich macek, w miejscu, gdzie powinna być głowa. Najbardziej jednak zdumiewające było to, że doniesienia z różnych źródeł pokrywały się ze sobą. Zdumienie byłoby większe, gdyby nie było osłabione przez fakt, że wszystkie stare legendy, dotyczące właśnie gór, były żywo i wręcz chorobliwie obrazowe, mogły więc wywrzeć wpływ na wyobraźnię wszystkich świadków. Byłem skłonny przypuszczać, że owi świadkowie - a byli to wyłącznie prości, naiwni ludzie mieszkający w lasach - zobaczyli zmasakrowane gospodarskie zwierzęta płynące z wirującym prądem wody, a pod wpływem prawie już zapomnianych legend przydali tym biednym ciałom jakieś niezwykłe atrybuty.

Ten stary folklor, dość mglisty i nieuchwytny, w dużej mierze zapomniany już w obecnym pokoleniu, miał charakter bardzo szczególny i znać w nim było znaczne wpływy jeszcze starszych indiańskich opowieści. Choć nigdy nie byłem w Vermont, znałem go dzięki monografii Eli Davenport, pracy raczej niezwyklej, a obejmującej materiał zebrany na podstawie ustnej relacji przed 1839 rokiem wśród starszych mieszkańców tego stanu. Co więcej, materiał ten zgadzał się z opowieściami, jakie sam słyszałem od starych wieśniaków w górach New Hampshire. Krótko mówiąc dotyczył nieznannej rasy potworów kryjących się gdzieś w górach i mrocznych dolinach, w których sączą się potoki wypływające z nieznanych źródeł. Stworzyte rzadko się pokazywały, ale świadectwo o ich istnieniu składał ci, którym zdarzyło się zapuścić trochę dalej w góry albo w głębokie strome wąwozy, gdzie nawet wilki nie zaglądały.

Widziano dziwne ślady stóp albo szponów z pazurami na błotnistych brzegach potoków i nagich przestrzeniach, a także kamienie poukładane wkoło i powyrywaną przy nich trawę, co nie mogło być dziełem natury. Na stokach gór znajdowały się grotty niezbadanej głębokości, do których wejście zasłaniały głazy, co nie mogło być dziełem przypadku, zaś w pobliżu rozliczne ślady prowadzące do wnętrza grot i na zewnątrz - choć ocena ich kierunku wydaje się dosyć wątpliwa. A co gorsza, żądni przygód podróżnicy widywali tam rzeczy niezwykle i zupełnie niespotykane, kiedy zapuszczali się o brzasku w najodleglejsze doliny i gęste, rosnące pionowo lasy na szczytach gór, niedostępne dla człowieka.

Byłoby to mniej niepokojące, gdyby wszystkie opowieści nie były tak do siebie podobne. Miały one kilka punktów wspólnych: twierdzono, że owe stwory są czymś w rodzaju wielkich, jasnoczerwonych krabów, że mają wiele par nóg i dwa ogromne jak u nietoperza skrzydła na grzbiecie. Poruszały się albo na wszystkich łapach albo tylko na ostatniej parze, używając pozostałych do przenoszenia wielkich, nieokreślonych przedmiotów. Pewnego razu zdołano je wytropić w większym zgrupowaniu, cały ich oddział poruszał się płytkim strumieniem pośród lasu, w formacji zdyscyplinowanej, trójka w szeregu. Kiedyś znów widziano, jak jeden taki stwór pofrunął. Odbił się nocą od nagiego szczytu samotnej góry, uniósł się w niebo - widziano nawet jego wielkie, trzepoczące skrzydła na tle pełni księżyca - i zniknął.

Stwory te jednakże nie zakłócały ludziom spokoju, choć czasami obwiniano je za zniknięcie rzykanckich osobników, zwłaszcza tych, co pobudowali się za blisko niektórych dolin albo zbyt wysoko na zboczach gór. Pewne tereny znane były z tego, że nie należy się tam osiedlać, i przestrzegano tego jeszcze długo potem, kiedy wszystkie te opowieści prawie poszły w zapomnienie. Spoglądano z lękiem na okoliczne przepaściste góry, choć nie pamiętano już, ilu z osiadłych tam ludzi przepadło, ile farm spłonęło i zamieniło się w popiół na zboczach tych srogich, zielonych strażników.

Zgodnie z wcześniejszymi legendami stwory te wyrządzały krzywdę tylko wtedy, gdy ktoś wkroczył na ich prywatny teren. Późniejsze legendy mówiły, że są one ciekawe ludzi i że potajemnie wystawiają swoje posterunki w ludzkim świecie. Krążyły opowieści o dziwnych śladach szponów znajdujących rano pod oknami domów i o znikaniu poszczególnych ludzi z terenów przyległych do nawiedzonych obszarów. A także o jakichś szeptach naśladujących mowę ludzką, kiedy czyniono ponętne propozycje samotnym podróżnikom na drogach i jadących powozami przez las, o dzieciach, które odchodziły od zmysłów ze strachu, bo nagle coś zobaczyły lub usłyszały, tam gdzie pierwotny las sięgał ich domostwa. W późniejszych legendach - kiedy już zaczęły zanikać przesady, a ludzie zapuszczali się coraz bliżej tych przerażających obszarów - pojawiają się szokujące wieści o pustelnikach i samotnych farmerach, którzy w pewnym okresie życia ulegli jakimś odrażającym zmianom umysłowym, których wszyscy unikali mówiąc, że są to śmiertelnicy zaprzędani tym dziwnym istotom. Około 1800 roku, w jednym z północnowschodnich okręgów, stało się niemal modne oskarżenie ludzi ekscentrycznych i wiodących żywot pustelniczy - co było niezbyt mile widziane - o powiązaniach z tymi okropnymi stworami. Twierdzono nawet, że są to ich przedstawiciele.

O stworach tych krążyły różne opinie. Powszechnie nazywano ich "oni" albo "ci dawni", choć były też inne jeszcze, lokalne i przemijające kreślenia. Najprawdopodobniej grupa purytańskich osadników zaliczyła ich bez żadnych ogródek do diabłów, które stały się podstawą do pełnych grozy teologicznych spekulacji. Natomiast niektóre legendy - pochodzenia szkocko-irlandzkiego z New Hampshire, a także pokrewnych ludzi osiadłych w Vermont na kolonialnych terenach nadanych przez gubernatora Wentwortha - zaliczały ich do czarownic i "małych ludzików" żyjących na moczarach i w prehistorycznych twiedzach; chroniono się przed nimi za pomocą zaklęć przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Najbardziej jednak fantastyczne teorie snuli Indianie. Choć były różne w poszczególnych plemionach, wszystkie miały jedną wspólną cechę - uważano zgodnie, że owe stwory nie pochodzą z tej ziemi.

Mity Pennacooków, najbardziej trwałe i obrazowe, głosiły, że Skrzydlate Stwory przybyły z Wielkiej Niedźwiedzicy i miały swoje kopalnie w górach, skąd pobierały kamienie, jakich nie było w ich świecie. Nie żyły tutaj na ziemi, tylko miały swoje posterunki i odlatywały z ogromnym ładunkiem kamieni do swoich gwiazd w kierunku północnym. Czyniły krzywdę tylko tym ludziom, którzy się zanadto do nich zbliżali albo usiłowali ich śledzić.

Zwierzęta wystrzegały się ich czując instynktowną niechęć, choć nie były przez nich napastowane. Nie zjadały zwierząt ani niczego pochodzącego z tego świata, sprowadzały sobie jedzenie ze swoich gwiazd. Nie należało się do nich zbliżać i dlatego młodzi myśliwi, którzy zapuszczali się w góry, nigdy już nie powracali. Nie wolno też było ich podsłuchiwać, kiedy nocą rozlegały się ich szepty w lasach podobne do brzęczących pszczół, co miało przypominać ludzką mowę. Zнали mowę wszystkich ludzi - Pennacooków, Huronów, plemion Pięciu Narodów - nie posiadali jednak i nie odczuwalipotrzeby własnej mowy. Rozmawiali za pomocą swoich głów, które zmieniały barwę zależnie od tego, co chcieli sobie przekazać.

Wszystkie te legendy, zarówno białych, jak i indian, zanikły w dziewiętnastym wieku, tylko czsami gdzieś występowały jako przejaw atawizmu. Życie mieszkańców Vermont ustabilizowało się; z chwilą gdy powstały osiedla i drogi wedle ustalonego planu, prawie już zapomniano, jakie obrazy leżały u jego podłoża i że kiedyś się czegoś obawiano i starano się unikać. Większość ludzi wiedziała, że pewne tereny górskie są niezdrowe, bezużyteczne, że są nieprzyjazne człowiekowi i lepiej się trzymać od nich jak najdalej. Z czasem całe życie gospodarcze skupiło się w pewnych ustalonych miejscach i nie było potrzeby wykraczać poza ich granice; nie zapuszczano się więc w niedostępne góry, może bardziej przez przypadek aniżeli dla jakiejś konkretnej przyczyny. W różnych miejscach wierzono w różne strach, ale tylko babcie lubujące się w opowieściach o niezwykłych zdarzeniach i chętnie nawracających do wspomnień dziewięćdziesiętletni staruszkowie szepotali o jakichś istotach mieszkających w górach; ale i nawet oni przyznawali, że nie trzeba się ich obawiać, bo przywykli już do obecności domów i osiedli, a wybrane przez nich obszary pozostawione są w spokoju, ludzie tam nie zaglądną.

Wszystko to znałem od dawna z książek i opowieści zasłyszanych w New Hampshire, toteż kiedy w okresie powodzi zaczęły krążyć różne pogłoski, domyśliłem się, co jest ich tłem i co pobudza wyobraźnię tych ludzi. Starłem się usilnie to wytłumaczyć to moim przyjaciołom, ale kilku co bardziej sworliwych twierdziło, że jednak może się zawierać w tym jakiś element prawdy, co mnie wielce ubawiło. Osoby te usiłowały wykazać, że stare legendy szczególnie długo się ostały i wszystkie wykazywały pewną jednorodność, a poza tym przyroda gór w Vermont jest tak nieskalana, że nie sposób stwierdzić dogmatycznie, co tam jest naprawdę, lub czego nie ma; na nic się zdało moje zapewnienie, że wszystkie mity opierają się na dobrze znanym szablonie, typowym dla niemal wszystkich ludów, a wytyczonym przez dawne, zabarwione wyobraźnią doznania, które rodzą podobne złudzenia.

Bezczelowe byłoby przekonywanie takich oponentów, że mity powszechne w Vermont nie odbiegały specjalnie od znanych na świecie legend personifikujących naturę, w których starożytny strach wypełniony był faunami, driadami i satyrkami; przywodziły na myśl kallikanuzarai współczesnej Grecji; wywarły także wpływ na walijskie i irlandzkie mity o dziwnych i strasznych troglodytach oraz o stworach kryjących się w głębokich jamach. Nie było też sensu wykazywać im zdumiewającego podobieństwa do wież górkich plemion w Nepalu, które lękają się Mi-Go czyli strasznych yeti, żyjących na pokrytych lodem skalistych szczytach Himalajów. Wszystkie argumenty jakie wysunąłem, moi oponenti obrócili przeciwko mnie twierdząc, że musi istnieć jakaś rzeczywista podstawa historyczna dla tych starych opowieści; że to tylko potwierdza prawdziwość istnienia jakiejś starszej rasy na ziemi, która musiała się ukryć z chwilą nastania ludzkości i objęcia przez nią dominującej roli na ziemi, ale najprawdopodobniej przetrwała w niewielkiej ilości jeszcze do niedawnych czasów - a może nawet trwa do dzisiaj.

Im bardziej śmiałem się z tych teorii, tym mocniej moi uparci prujaciele obstawali przy swoim, dodając, że nawet bez całego dziedzictwa legend ostatnie artykuły były aż nazbyt jasne, zwarte, szczegółowe i rozsadne w swej wymowie, aby można je było całkowicie zignorować. Kilku fanatycznych ekstremistów posunęło się aż tak daleko, że zaczęli traktować poważnie stare indiańskie opowieści, w których owe kryjące się przed ludźmi istoty miały pochodzenie pozaziemskie i cytowali bardzo dziwaczne książki Charlesa Forta, w których twierdzi on, że istoty z innych światów i przestrzeni często odwiedzają ziemię. Moi przeciwnicy w większości byli romantykami i dążyli do przeniesienia w życie rzeczywiste "małych ludzików", na temat których istniała cała fantastyczna dziedzina wiedzy popularyzowana przez wspaniałą, a pełną koszmarów prozę Arthura Machena.

[Początek] [Rozdział II ->]

II

Trudno się dziwić że w takich okolicznościach te ostre debaty dostały się w końcu w formie listów do "Arkham Advertiser"; niektóre z nich zostały przedrukowane w miejscowej prasie w Vermont na terenach objętych powodzią. " Rutland Herald " umieścił długie fragmenty słów na dwóch szpaltach natomiast " Brattleboro Reformer " wydrukował w całości jedną z moich rozpraw historyczno-mitologicznych wraz z komentarzem w kolumnie rozważań naukowych Pendriftera, wspierającym i potwierdzającym moje sceptyczne wnioski. Nim jeszcze nastała wiosna 1928 stałem się postacią znaną w Vermont, choć osobiście jeszcze nigdy nie byłem w tym stanie. Wtedy też zacząłem otrzymywać pełne sprzeciwu listy od Henry Akeley, które wywarły na mnie ogromne wrażenie i z powodu których po raz pierwszy i ostatni w życiu wybrałem się do wspaniałej krainy porośniętej zieloną gęstwiną przepaści i szemczących leśnych strumieni.

Większość informacji o Henrym Wentworthie Akeleyu zdobyłem od sąsiadów, a także od jedyne go syna mieszkającego w Kalifornii, po małej bytności w opustoszałym domu Akeleya. Pochodził ze starej rodziny znanych prawników, urzędników państwowych i posiadaczy ziemskich, a był już ich ostatnim potomkiem na ziemi rodzinnej. Odszedł jednak od praktycznej działalności, jaką zajmowały się poprzednie pokolenia, a skupił się na działalności czysto naukowej; był wybitnym studentem matematyki, astronomii, biologii, antropologii i folkloru na uniwersytecie w Vermont. Nigdy o nim nie słyszałem, a w swoich pracach naukowych niewiele pokazywał danych autobiograficznych. Z miejsca się jednak zorientowałem, że jest to człowiek z charakterem, o dużej wiedzy naukowej i inteligencji, mimo iż wiedzie życie samotnika i ma niewielki kontakt ze światem.

Choć wszystko, przy czym obstawał, wydawało się niewiarygodne, nie mogłem tego zbagatelizować, tak jak zbagatelizowałem poglądy moich oponentów. Po pierwsze, był blisko aktualnych zjawisk - świadkiem naczynym i namacalnym - na temat których tak absurdalnie rozprawiał, po drugie, co było zdumiewające, pozostawiał swoje wnioski do rozstrzygnięcia prawdziwym naukowcom. Osobiście, powiadał, nie ma możliwości dalszych badań, a kieruje się tylko tym, co jest oparte na niezaprzeczalnych dowodach. Zainteresowałem się tym, w głębi duszy przekonany że jednak Akley błądzi, ale nie mogłem mu odwieść nawet i w tym względzie inteligencji; a już w żadnym razie nie próbowałem naśladować niektórych z jego przyjaciół, którzy skłonni byli p[rzypisywać jegopomysły i lęk przed niedostępnymi, porośniętymi zielenią górami, obłądowi. Byłem przekonany, że sprawa ta ma ogromne znaczenie dla tego człowieka i że wszystko, co opisuje, wywodzi się z jakiś dziwnych okoliczności wymagających zbadania, choćby to miało niewielki związek z fantastycznymi wydarzeniami, jakie przytacza. Wkrótce otrzymałem od niego jeszcze dokładniejszy materiał dowodowy, który nadał całej sprawie zupełnie inny aspekt, zadziwiający i oszołamiący.

Najlepiej będzie, jeśli przytoczę dokładnie, w miarę możliwości, długi list Akeleya, w którym mi się przedstawił, a który stał się punktem zwrotnym mojej intelektualnej działalności. Nie mam już tego listu, ale zachowałem dokładnie w pamięci niemal każde słowo z tych złowieszczych wiadomości. W dalszym ciągu potwierdzam moje głębokie przekonanie, że człowiek, który go napisał, był najzupełniej zdrowy na umyśle. A oto tekst list, jaki otrzymałem, napisany zwartym, niemal archaicznym pismem przez człowieka, który podczas spokojnego żywota wypełnionego dociekaniem naukowymi, niewiele miał z otaczającym go światem.

R.F.D. 2,
Townshen, Windham Co., Vermont 5 maja, 1928

Albert N. Wilmarth, Esq.
Saltonstall St.
Arkham, Mass.

Szanowny Panie,
Z prawdziwym zainteresowaniem przeczytałem w "Brattleboro Reformer" (23 kwietnia, 1928) przedruk Pańskiej pracy na temat krążących ostatnio opowieści o dziwnych ciałach unoszących się na wezbranych rzekach podczas jesiennej powodzi i na temat ich podobieństwa do dawnych ludowych opowieści. Nietrudno zrozumieć, dlaczego człowiek z zewnątrz zajmuje takie stanowisko i dlaczego nawet Pandrifter się z panem zgadza. Taki stosunek (prejawiają zarówno wykształceni ludzie w Vermont, jak i poza tym stanem, taki stosunek miałem i ja w młodości (mam teraz 57 lat), dopuki moje badania tak w sensie ogólnym jak i po przeczytaniu książki Devenporta nie skłoniły mnie do wyprawy w okoliczne góry, rzadko przez człowieka odwiedzane.

A skłoniły mnie do tych badań dziwne dawne opowieści, które często słyszałem od starych farmerów, ludzi raczej prostych, ale teraz żałuję, że się wogóle do tego nie zabrałem. Nie chwaląc się, mogę powiedzieć, że dziedzina antropologii i folkloru nie jest mi bynajmniej obca. Zajmowałem się tymi zagadnieniami dość wnikliwie w college'u i znane mi są takie autorytety jak Taylor, Lubbock, Frazer, Quatrefages, Murray, Osborn, Keith, Boule, G. Elliott Smith i im podobni. Nie jest dla mnie nowością, że opowieści o kryjących się przed ludźmi istotach są tak stare jak ludzkość. Czytałem wydrukowane Pańskie listy i Pańskich oponentów w "Rutland Herald" i wydaje mi się, że wiem, skąd się bierze Pańska kontrowersja.

Pragnę jednak poinformować, że Pańscy oponenti są bliżsi prawdy, choć słuszność zdaje się być po Pańskiej stronie. Są o wiele bliżej prawdy niż zdają sobie z tego sprawę - bo ich rozważania oparte są na rozważaniach teoretycznych, nie mogą więc wiedzieć tego, co ja wiem. Gdybym posiadał równie skromną wiedzę, miał bym prawo wieżyć jak i oni. Wtedy byłbym całkowicie po Pańskiej stronie.

Jak pan widzi, niełatwo mi przejść do sedna sprawy, może dlatego, że brak mi odwagi; sedno sprawy jednak na tym polega, że mam pewne dowody, na to, iż te monstrualne stwory naprawdę żyją w lasach wśród wysokich gór, gdzie nikt nie dociera. Nie widziałem tych istot unoszących się na powierzchni rzek, jak donosi prasa, ale widziałem je w okolicznościach których nie mam odwagi opisać. Widziałem ślady ich stóp, a ostatnio widziałem je całkiem blisko mego domu (mieszkam w starym rodzinnym domu Akeleyów, na południu Townshend Village tuż przy Dark Mountain). Słyszałem też ich głosy w głębokim lesie, których nawet nie chcę próbować opisywać.

W pewnym miejscu było słychać je tak wyraźnie, że wziąłem ze sobą fonograf - z tubą i woskowym papierem - i postaram się, aby mógł pan posłuchać tego zapisu, jaki jest w moim posiadaniu. Nastawiałem fonograf różnym starym ludziom w mojej okolicy i jeden z tych głosów wprowadził ich w osłupienie, tak okazał się podobny do pewnego głosu (tego bzyczenia w lasach, o którym wspomina Devenport), o jakim opowiadały jeszcze ich babki i usiłowały go naśladować. Wiem co się mówi o człowieku, który "słyszał głosy", nim jednak wyciągnie Pan wnioski, proszę najpierw posłuchać tego zapisu i spytać starych ludzi, mieszkających przy lesie, co o tym sądzą. Jeśli uzna Pan to za coś normalnego, proszę bardzo. Ja jednak twierdzę, że coś w tym jest. Jak Pan wie, Ex nihilo nihil fit.

Piszę ten list nie po to, żeby toczyć z Panem spór, ale po to, żeby przekazać Panu informacje, które dla człowieka Pańskiego pokroju powinny się okazać wielce interesujące. To oczywiście prywatnie. Oficjalnie jestem po Pana stronie, gdyż na podstawie pewnych przesłanek, które są mi znane, uważam że lepiej żeby ludzie jak najmniej o tym wiedzieli. Badania, jakie ja przeprowadziłem, są wyłącznie do mojego prywatnego użytku i nie mam zamiaru swoim wystąpieniem wzbudzać czyjegoś zainteresowania ani też spowodować, aby ludzie zaczęli odwiedzać tereny, które ja poznałem. Prawdą jest - straszną prawdą - że istnieją istoty nieludzkie, które przez cały czas nas

obserwują i mają swoich szpiegów zbierających o nas wszystkie informacje. To właśnie od pewnego przerażającego człowieka zdobyłem klucz do tej wiedzy; jeżeli był normalny (a sądzę że był), musiał być jednym z owych szpiegów. Potem odebrał sobie życie, ale mam powody uważać, że na jego miejsce jest wielu następnych.

Te istoty pochodzą z innej planety, potrafią żyć w przestrzeni międzygwiazdowej, w której poruszają się za pomocą ohydnych, mocnych skrzydeł, posiadają zdolność pokonywania próżni; natomiast trudno im latać nad ziemią. Opowiem panu o tym później, o ile nie potraktuje mnie Pan z miejsca jak obłąkanego. Przybywają tutaj aby wydostać metal z kopalni, które znajdują się głęboko pod górami. I chyba wiem skąd przybywają. Nie wyrażają nam krzywdy, jeżeli zostawimy je w spokoju, ale lepiej nie myśleć co się stanie, gdybyśmy zaczęli wykazywać zbytnią ciekawość. Dużo a armia ludzi mogłaby zniszczyć ich kopalniane kolonie. Tego się właśnie boją. Jeśliby się tak stało, przyleciało by ich znacznie więcej, niezliczona ilość. Bez trudu podbiły by ziemię; dotychczas tego nie zrobiły, bo nie miały takiej potrzeby. Wolą, aby tak było, jak jest to dla nich mniej kłopotliwe.

Wydaje mi się, że zamierzają się mnie pozbyć, bo za dużo wykryłem. W lasach na Round Hill, na wschód od mojej farmy znajdował się wielki czarny kamień z wrytymi na nim, ale już mocno zatartymi hieroglifami; zabrałem go do domu a ztą chwilą wszystko przybrało inny obrót. Jeśli podejrzewają że wiem za dużo będą próbowały albo mnie zabić, albo zabrać tam skąd pochodzą. Od czasu do czasu lubią zabierać uczonych ludzi, żeby na bieżąco mieć informacje o ludzkim świecie.

Prowadzi mnie to do drugiego celu, który przyświeca temu listowi - prosiłbym o wyciszenie toczącej się dyskusji, nienadawanie jej większego rozgłosu. Należy trzymać ludzi z dala od tych gór, dlatego też nie powinno się podsycać ich ciekawości. Już i tak istnieje niemałe zagrożenie z powodu właścicieli różnych firm, sprowadzają tu całe tłumy letników, zachęcając ich do penetrowania dzikich terenów i budowania tanich bungalowów na zboczach gór.

Chętnie będę kontynuował wymianę listów z Panem i postaram się przesłać mój zapis fonograficzny, a także czarny kamień, (który jest tak zniszczony, że na fotografiach niczego nie widać), pocztą ekspresową, o ile Pan sobie tego życzy. Mówię "postaram się", bo te stwory potrafią tutaj we wszystko ingerować. Na farmie, w pobliżu wsi, mieszka pewien ponury, tajemniczy człowiek, nazwiskiem Brown, który, jak sądzę, jest ich szpiegiem. Stopniowo starają się mnie odciąć od ludzi, ponieważ zbyt wiele posiadam wiadomości o ich świecie.

W zdumiewający sposób potrafią wykryć wszystko, co robię. Możliwe, że wogóle Pan nie otrzyma tego listu. Wydaje mi się, że powinienem opuścić to miejsce i przenieść się do mojego syna w San Diego w Kalifornii, jeżeli sytuacja się pogorszy; niełatwo się jednak zdobyć na opuszczenie stron, w których się człowiek urodził, a jego rodzina żyła tu od sześciu pokoleń. Nieśmiałym też sprzedać tej farmy nikomu, wiedząc, że te istoty mają na nią oko. Wydaje mi się, że chcą za wszelką cenę zdobyć z powrotem czarny kamień i zniszczyć zapis fonograficzny, ale nie dopuszczę do tego, póki mi sił starczy. Odstraszają ich moje wielkie psy policyjne, zresztą jak narazie niewiele jest tu jeszcze tych stworów i raczej niezręcznie się poruszają. Jak wspomniałem niezbyt dobrze mogą frówać nad ziemią. Bliski już jestem rozszyfrowania hieroglifów na tym kamieniu, a przy Pańskiej znajomości folkoru sądzę że mógłby mi Pan bardzo pomocny w uzupełnieniu brakujących powiązań. Wydaje mi się że zna pan wszystkie najstraszniejsze mity dotyczące tego okresu na ziemi, kiedy jeszcze nie było człowieka - z cyklu Yog-Sothoth i Cthulhu - a które wymienione są w "Necronomicon". Mam u siebie jeden egzemplarz, a słyszałem, że jest jeden w bibliotece college'u, głęboko schowany.

Podsumowując, myślę, że moglibyśmy być sobie nawzajem pomocni i że nasza współpraca okazałaby się pożyteczna. Nie chciałbym Pana narazić na niebezpieczeństwo, dlatego uważam, że powinienem Pana ostrzec, iż posiadanie tego kamienia i zamisu może się wiązać z pewnym zagrożeniem. Myślę jednak, że gotów Pan będzie ponieść każde ryzyko dla dobra postępu wiedzy. Wybiorę się do Newfant albo brottleboro, aby z tamąd wysłać to do czego Pan mnie upoważni, bo tamtejszym urzędom można lepiej zaufać. Muszę dodać, że mieszkam sam, nie mogę zatrudniać nikogo do pomocy. Nikt by nie chciał u mnie pracować, właśnie z powodu tych stworów, które nocą zakradają się w pobliże mego domu i z powodu bezustannego ujadania moich psów. Cieszę się, że nie włączyłem się w tę historię za życia mojej żony, bo pewnie nie wytrzymałaby tego nerwowo.

Wyrażając nadzieję, że nie sprawiam Panu zbyt wielkiego kłopotu i że zechce Pan łaskawie nawiązać ze mną kontakt, a nie wyzuci tego listu do kosza na sieci traktując go jako brednie obłąkanego człowieka.

Pozostaję z poważaniem
Henry W. Akeley

PS. Robię właśnie kilka dodatkowych odbitek zdjęć przezemnie wykonanych, które będą jak sądzę potwierdzeniem kilku zagadnień, jakie poruszyłem w tym liście. Starzy ludzie uważają że są one straszliwym świadectwem prawdy. Przyślę je wkrótce o ile będzie pan zainteresowany.

Trudno byłoby mi przekazać uczucia, jakie wzbudził we mnie ten list. Wedle wszelkich reguł powinien był mnie jeszcze bardziej rozśmieszyć niż wszystkie, o wiele spokojniejsze teorie, z jakimi się dotychczas spotkałem; jednakże ton tego listu wywołał we mnie paradoksalnie poważne uczucia. Nawet nie dlatego, abym uwierzył choćby na moment w istnienie ukrywającej się rasy stworów z gwiazd, o jakich wspomina autor tego listu, ale po prostu dlatego, że po wielu rozlicznych, a poważnych wątpliwościach nabrałem głębokiego przekonania, że jest to człowiek jak najbardziej zdrowy na umyśle i szczerzy i że musiał się zetknąć jakimś rzeczywistym, choć niezwykłym i odbiegającym od normy zjawiskiem, którego nie potrafi wyjaśnić inaczej jak za pomocą swojej wyobraźni. Nie może być tak, jak myśli, ale też napewno należy to poddać badaniom. Człowiek ten wydał mi się

nadmiernie podniecony i czymś przerażony, trudno jednak nie uznać, że musi istnieć jakiś tego przyczyna. Jego tok myślenia był niezwykle logiczny, a pozatym cała opowieść niesłychanie współgrała z wieloma starymi mitami, nawet z najbardziej niesamowitymi legendami indian.

Było najzupełniej możliwe, że rzeczywiście słyszał jakieś niepokojące głosy w górach i że znalazł czarny kamień, o którym wspomina, wątpliwe wydały mi się jednak wnioski, jakie wyciąga... wnioski, wysunięte najprawdopodobniej pod wpływem człowieka, który podawał się za szpiega tych stworów i który potem się zabił. Nietrudno wydedukować, że człowiek ten musiał być obłąkany, ale była to z jego strony perwersja, pozbawiona wszelkiej logiki, natomiast naiwny Akeley - pod wpływem przeprowadzanych folklorystycznych badań - we wszystko uwierzył. Jeśli zaś chodzi o dalszy rozwój wydarzeń... o to że nie mógł nikogo u siebie zatrudnić... to okazało się, że sąsiedzi Akeleya we wsi byli tak samo jak on przekonani, że dom jego nawiedzały nocą jakieś tajemnicze istoty, i psy rzeczywiście szczekały.

A następnie sprawa zapisu fonograficznego - nie mogłem wątpić że, uzyskał go w sposób, jak podawał. Coś to musi znaczyć; albo to głosy zwierząt złudnie przypominające ludzką mowę, albo mowa pewnych ukrywających się, a straszących nocą ludzi, tak wynaturzona że przypomina odgłosy zwierząt niższego gatunku. Myśl moja z kolei przeniosła się do czarnego, pokrytego hieroglifami kamienia i zacząłem rozważać co to może oznaczać. I wreszcie do fotografii, które Akeley obiecał mi przysłać, a które starym ludziom wydały się prawdziwe i straszne.

Kiedy przeczytałem ponownie ten list, wydało mi się, jak jeszcze nigdy dotąd, że moi łatwowierni oponenti mają rację. Mimo wszystko mogą przecież istnieć w tych niedostępnych górach, jacyś dziwni, obciążeni dziedzicznie odszczepieńcy, z których legendy stworzyły rasę potworów przybyłych z gwiazd. A jeżeli tak jest, wtedy obecność dziwnych ciał na wezbranych powodzią rzekach mogłaby się okazać wiarygodna. Czyż należy więc przypuszczać, że zarówno stare legendy, jak i ostatnie doniesienia zawierają w sobie elementy rzeczywistości? Kiedy tak głowiłem się nad tymi wątpliwościami, ogarnął mnie wstyd, że zlepek dziwactw w zwariowanym liście Akeleya wywarł na mnie taki wpływ.

Odpisałem jednak Akeleyowi, przyjmąwszy w liście ton przyjaznego zainteresowania, i poprosiłem o dalsze szczegóły. Jego odpowiedź przyszła odwrotną pocztą; zgodnie z obietnicą przysłał kilka wykonanych Kodakiem zdjęć różnych scen i przedmiotów ilustrujących to, co opisywał. Kiedy po wyjęciu z koperty spojrzałem na nie, ogarnął mnie dziwny lęk, jakby były mi od dawna znajome; mimo pewnych niejasności, większość z nich odznacza się sugestywną, siłą zwłaszcza, że były to zdjęcia autentyczne - okrutna więź optyczna z tym, co przedstawiały, a jednocześnie produkt bezstronny pozbawiony przesądów, omyłek czy też zakłamania.

Im bardziej się przyglądałem tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że mój poważny stosunek do Akeleya i jego opowieści jest uzasadniony. Zdjęcia te bez wątpienia stanowiły świadectwo istnienia w górach Vermont, czegoś, co wykraczało poza zasięg naszej wiedzy i wiary. Najgorsze ze wszystkiego były ślady stóp - zdjęcia wykonane gdzieś na bezludnej wyżynie, na terenie błotnistym, kiedy świeciło słońce. Jedno spojrzenie wystarczyło, abym się przekonał, że nie są to sfalszowane zdjęcia; wyraźnie zaznaczone kamienie i żdźbła trawy w polu widzenia dawały jasny wykładnik skali i wykluczały możliwość zastosowania tricku podwójnej ekspozycji. Używałem określenia "ślady stóp", ale "ślady szponów" byłoby właściwszym określeniem. Nawet teraz niezbyt potrafię to opisać, może po prostu powiem, że były ohydne i przypominały kraby, a pozatym ich kierunek wydawał się zagadkowy. Nie były to ślady głębokie i wyraźne, zdawały się być wielkości przeciętnej ludzkiej stopy. Od jej centralnej części rozchodziło się kilka par ostrych szponów wysuniętych w przeciwnych kierunkach, których funkcja była zagadkowa, o ile wogóle był to narząd poruszania.

Następna fotografia - wykonana bez wątpienia w głębokim mroku - ukazywała wejście do pieczary w lesie, zablokowane okrągłym głazem. Przed nią na nagim terenie można było zauważyć gęstą sieć dziwnych śladów, a przyjrawszy się im przez szkło powiększające upewniłem się, że są podobne do śladów na poprzednim zdjęciu. Trzecie ukazywało na wierzchołku góry kamienie ustawione w pozycji stojącej w kształcie koła, na sposób druidów. Wokół tego tajemniczego koła trawa była mocno zdeptana i powyrywana, ale nie mogłem dostrzec tam żadnych śladów, nawet przez szkło powiększające. Było to miejsce bardzo odległe, świadczyło o tym istne morze niedostępnych gór znajdujących się w tle i ciągnących się w dal mglistego horyzontu.

Im bardziej się przyglądałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że mój poważny stosunek do Akeleya i jego opowieści jest uzasadniony. Zdjęcia te bez wątpienia stanowiły świadectwo istnienia w górach Vermont, czegoś, co wykraczało poza zasięg naszej wiedzy i wiary. Najgorsze ze wszystkiego były ślady stóp - zdjęcia wykonane gdzieś na bezludnej wyżynie, na terenie błotnistym, kiedy świeciło słońce. Jedno spojrzenie wystarczyło abym się przekonał, że nie są to sfalszowane zdjęcia; wyraźnie zaznaczone kamienie i żdźbła trawy w polu widzenia dawały jasny wykładnik skali i wykluczały możliwość zastosowania tricku podwójnej ekspozycji. Użyłem określenia "ślady stóp", ale "ślady szponów" byłoby właściwszym określeniem. Nawet teraz niezbyt to potrafię opisać, może po prostu powiem, że były ohydne i przypominały kraby, a poza tym ich kierunek wydawał się zagadkowy. Nie były to ślady głębokie i wyraźne, zdawały się być wielkości przeciętnej ludzkiej stopy. Od jej centralnej części rozchodziło się kilka par ostrych szponów wysuniętych w przeciwnych kierunkach, których funkcja była zagadkowa o ile to wogóle był narząd poruszania.

Następna fotografia - wykonana bez wątpienia w głębokim mroku - ukazywała wejście do pieczary w lesie, zablokowane okrągłym głazem. Przed nią na nagim terenie można było zauważyć gęstą sieć dziwnych śladów, a przyjrawszy się im przez szkło powiększające upewniłem się, że są podobne do śladów na poprzednim zdjęciu. Trzecie ukazywało na wierzchołku góry kamienie ustawione w pozycji stojącej w kształcie koła, na sposób druidów. Wokół tego tajemniczego koła trawa była mocno zdeptana i powyrywana, ale nie mogłem tam dostrzec żadnych

śladów nawet przez szkło powiększające. Było to miejsce bardzo odległe, świadczyło o tym istne morze niedostępnych gór znajdujących się w tle i ciągnące się w dal mglistego horyzontu.

Najbardziej niepokojące z tego wszystkiego wydawały się ślady stóp, ale najciekawszy był ogromny kamień znaleziony w lasach Round Hill. Akeley sfotografował go na swoim biurku, widać bowiem było na nim stos książek i w tle zbiorowe dzieła Milтона. Jak można się było zorientować, kamień był ustawiony frontem do kamery, w pozycji pionowej, powierzchnię miał nieregularną, a wymiary - jedną na dwie stopy. Nie sposób jednak dokładnie określić jego powierzchni ani też ogólnych zarysów, wzdyga się przed tym język. Nie potrafiłem odgadnąć jakie geometryczne reguły przyświecały nacięciom na jego powierzchni - były to bowiem nacięcia wykonane przez kogoś; a jeszcze chyba nigdy nie widziałem czegoś takiego, co by mi się wydawało aż tak dziwne i obce naszemu światu. Hieroglify na jego powierzchni nie bardzo były dla mnie czytelne, ale jeden albo dwa, które dojrzałem przyprawiły mnie niemal o wstrząs. Naturalnie że mogły być sfalszowane, bo przecierz jeszcze wielu oprócz mnie czytało to koszarne i odrażające "Necronomicon" szalonego Araba Abdula Alhazreda; nigdy jednak nie drżałem rozpoznając pewne ideogramy, których studiowanie nauczyło mnie rozpoznawać mroźące krew w żyłach i bluźniercze szeptu istot, żyjących jeszcze przed powstaniem ziemi i innych światów systemu słonecznego.

Z pięciu pozostałych zdjęć, na trzech znajdowały się błota i góry, noszące ślady kryjących się tam tajemniczych mieszkańców. Na czwartym były dziwne znaki na ziemi w pobliżu domu Akeleya, a jak pisał, wykonał je rano, po nocy, podczas której psy ujadły zażarciej niż zwykle. Znaki były niewyraźne, trudno było z tego wyciągnąć jakieś wnioski; wydawały się jednak szatańskie, podobnie jak ślady szponów na opustoszałej wyżynie. Na ostatnim zdjęciu znajdował się dom Akeleya - biały, schludny, jednopiętrowy z poddaszem, miał około studziesięciu lat, przed nim starannie utrzymany trawnik i ścieżka wyłożona kamyczkami a prowadząca do ładnie rzeźbionych drzwi w stylu gregoriańskim. Na trawniku znajdowało się kilka wielkich psów policyjnych w pobliżu mężczyzny o przyjemnej twarzy i siwej, krótko przyciętej brodzie, którego uznałem za Akeleya we własnej osobie i fotografa, co można było wywnioskować po lampie błyskowej trzymanej w prawym ręku.

Obejrawszy zdjęcia zabrałem się do czytania listu, napisanego dużym, zwartym pismem i na dobre trzy godziny popadłem w otchłań niewypowiedzianego przerażenia. Przedtem Akeley tylko napomknął o pewnych sprawach, teraz relacjonował wszystko szczegółowo, podał długi wykaz słów podsłuchanych nocą w lasach, długi opis wielki różowych kształtów wyśledzonych o zmierzchu w gąszczu pokrywającym góry oraz straszną kosmiczną opowieść wywodzącą się z zastosowania poważnej i wszechstronnej wiedzy, oraz nie kończąca się, a należąca do przeszłości dysputę z szalonym, samozwańczym szpiegiem, który odebrał sobie życie. Napotkałem tu nazwy i określenia z którymi zetknąłem się już gdzie indziej, a powiązane z najstraszliwszymi okolicznościami - Yuggoth, Wielki Cthulhu, Tsathoggua, Yog-Sothoth, R'lyeh, Nyarlathotep, Azathoth, Hastur, Yian, Lena, Jezioro Hali, Bathmoora, Żółty Znak, L'mur-Kathulos, Bran i Magnum Innominatum - z powodu których przenieśliem się poprzez nieznane eony i niepojęte wymiary do świata istnień starszych i bardziej odległych, o jakich autor "Necronomiconu" zaledwie napomyka w niejasny sposób. Zostałem poinformowany o losach pierwotnego życia, o rzeczach, które się z tamąd sączyły i wreszcie o maleńkich strumykach wypływających z jednej z tych rzek, a wplątanych w losy naszej własnej ziemi.

W głowie mi wirowało; dotychczas usiłowałem wszystko wyjaśnić, teraz zacząłem wierzyć w najbardziej odchylone od normy i nieprawdopodobne dziwy. Zespół ewidentnych dowodów był ewidentnie rozległy i przytłaczający; a chłodne, naukowe podejście Akeleya - podejście balansujące pomiędzy fantazją a szaloną fanatyczną, histeryczną a nawet ekstrawagancką spekulacją - wywarło przemożny wpływ na moje myśli i sądy. Kiedy odłożyłem na bok ten straszny list, miałem pełne zrozumienie dla lęków, jakich doświadczałem i byłem gotów zrobić wszystko, aby powstrzymać ludzi przed zbliżaniem się do tych dzikich, nawiedzonych gór. Nawet jeszcze teraz, kiedy czas przytępił wrażenia i prawie że poddawał w wątpliwość moje własne doznania, pozostawiając mi rozliczne niepewności, są sprawy w liście Akeleya, których za nic bym nie przytoczył ani też nie przelał słowami na papier. Prawie że cieszę się, iż nie ma już nagrań, listów, fotografii i wolałbym, z przyczyn, które wkrótce wyjawię, aby nie odkryto nowej planety znajdującej się poza Neptunem.

Po przeczytaniu tego listu zaniechałem całkowicie mojej publicznej debaty na temat przerażających wydarzeń w Vermont. Argumenty moich oponentów pozostały nie wyjaśnione i z czasem kwestie kontrowersyjne poszły w niepamięć. Pod koniec maja i przez cały czerwiec korespondowałem z Akeleyem; co jakiś czas listy ginęły musieliśmy więc odtwierać je i pracowicie przepisywać. Chcieliśmy po prostu porównać nasze dane odnośnie tajemniczej, mitologicznej wiedzy i wyjaśnić korelacje pomiędzy strasznymi zjawiskami w Vermont i pierwotnymi legendami rozpowszechnionymi na świecie.

Doszliśmy do wniosku, że wszystkie te okropieństwa i diaboliczny Mi-Go w Himalajach przynależą do tej samej grupy wcielonego koszmaru. Istniało też ciekawe zoologiczne domniemanie na którego temat chętnie porozmawiałbym profesorem Dexterem z mojego college'u, ale powstrzymywało mnie kategoryczne życzenie Akeleya, aby nikomu nie wspominać o tej sprawie. Teraz już tego nie przestrzegam, ponieważ uważam, że na obecnym etapie ostrzeżenie przed odległymi górami w Vermont - a także szczytami Himalajów, na które odważni zdobywcy coraz częściej chcą się wspinać - jest bardziej pożyteczne dla ogólnego bezpieczeństwa aniżeli milczenie. Obaj dążyliśmy przede wszystkim do tego, aby odczytać hieroglify na tym niesławnym czarnym kamieniu, dzięki czemu moglibyśmy prawdopodobnie posiadać tajemnice owiele głębsze i bardziej bulwersujące, niż wszystkie znane dotychczas człowiekowi.

III

Pod koniec czerwca otrzymałem zapis fonograficzny nadany w Brattleboro, ponieważ Akeley nie ufał środkom przekazu rozgałęzionej linii północnej. Poza tym narastało w nim przekonanie o nasileniu szpiegowskiej akcji, potwierdzone zaginięciem kilku naszych listów; często wspominał o podstępnych poczynaniach pewnych ludzi, których podejrzewał o działalność na rzecz owych tajemniczych istot. Najbardziej podejrzewał o to farmera Waltera Browna, który mieszkał samotnie na zboczach przy samym lesie, a którego często widziano jak snuł się po zakamarkach Brattleboro, Bellows Falls, New Fane i South Londonderry bez uzasadnionego powodu. Głos Browna - Akeley był o tym przekonany - to jeden z tych głosów, które brały udział w podsłuchanej, a strasznej rozmowie; Akeley zauważył też ślady stóp czy też szponów koło domu Browna, a miało to złowieszczą wymowę. Co dziwniejsze owe ślady znajdowały się tuż przy śladach stóp samego Browna, skierowanych w ich stronę.

Nagranie więc zostało wysłane z Brattleboro, dokąd Akeley pojechał swoim ffordem bocznymi, pustymi drogami Vermont. W załączonym liście zwięźlił się, że tych dróg też się obawia i że wybiera się po zakupy do Twinshend tylko w ciągu dnia. Wciąż powtarzał, że lepiej wiedzieć o tym wszystkim jak najmniej, chyba że ktoś mieszka daleko od owych cichych i jakże pełnych tajemnic gór. Postanowił wkrótce wybrać się do Kalifornii i zamieszkać z synem, ale niełatwo mu będzie opuścić miejsce, z którym wiąże się tyle wspomnień i rodzinnych uczuć.

Nim zabrałem się do przesłuchania zapisu na fonografie wypożyczonym z budynku administracyjnego w college'u, starannie przeczytałem wszystkie informacje zawarte w liście Akeleya. Zapis ten został wykonany, wyjaśniał, o pierwszej w nocy 1 maja 1915 roku, tuż koło wejścia do grotty, w miejscu gdzie wznosi się lesisty zachodni stok Dark Mountain przy bagiennym obszarze lea. Miejsce to zawsze wypełniały jakieś dziwne głosy, dlatego właśnie wziął ze sobą fonograf, dyktafon i oczekiwał na rezultaty. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń spodziewał się, że ta noc na przełomie kwietnia i maja - koszmarna noc soboty wedle tajemniczych europejskich legend - może być o wiele bardziej przerażająca niż wszystkie inne noce, i nie spotkało go rozczarowanie. Warto jednak zauważyć, że już nigdy potem, nie słyszał żadnych głosów w tym miejscu.

Ten zapis nie przypominał dotychczas podsłuchanych głosów w lesie; miał raczej charakter rytualny i zaznaczał się w nim wyraźnie ludzki głos, którego Akeley nie potrafił rozpoznać. Nie był to głos Browna, zdawał się przynależać do człowieka o większej kulturze. Drugi głos stanowił natomiast prawdziwą zagadkę, gdyż było to właściwie ohydne bzyczenie, nie przypominające ludzkiego głosu, choć jednocześnie rozbrzmiewały słowa wypowiedziane w języku angielskim, gramatycznie i z akcentem człowieka uczonego.

Fonograf i dyktafon stosowane razem, działały niezbyt sprawnie, a poza tym podsłuchiwanie obrzędy odbywały się dość daleko i nie było ich słychać wyraźnie; toteż utrwalone zostały poszczególne fragmenty. Akeley załączył na piśmie nagrane słowa, więc przed włączeniem fonografu przeczytałem je dokładnie. Załączony tekst był bardziej tajemniczy niż straszny, choć świadomość jego pochodzenia i okoliczności, w jakich został zdobyty, przydawały mu koszarnej aury, której żadnymi słowami nie da się wyrazić. Przedstawię tu teraz, tak jak zapamiętałem, a jestem przekonany, że pamiętałem dokładnie, nie tylko z załączonej kartki, ale i z zapisu, który parokrotnie przesłuchałem. Tego zresztą nie da się zapomnieć!

(Niewyraźne głosy)

(Męski głos o kulturalnym brzmieniu)

...jest Bóg lasu, nawet do... i dary ludzi z Leng... tak z otchłani nocy aż po przepastne przestworza i z przepastnych przestworzy po otchłanie nocy, wszędzie chwała wielkiego Cthulhu, Tsathogua, i Tego, którego imienia się nie wymawia. Wszędzie ich chwała, a także obfitość dla Czarnej Kozy z lasów !a! Shub-Niggurath! Kozą z Tysiącem Młodych!

(Bzyczące naśladownictwo ludzkiej mowy)

!a! Shub-Niggurath! Czarna Kozą z Lasów z Tysiącem Młodych!

(Ludzki głos)

I zdarzyło się, że Bóg Lasów będący... siedem i dziewięć w dół onyksowych schodów... (skła)da Mu daninę w Zatoce, Azathoth, On, dzięki któremu Ty nauczałeś nas cudów... na skrzydłach nocy poza przestworzami, poza... Tam, gdzie Yuggoth jest najmłodszym dzieckiem, unoszącym się samotnie po sklepieniu niebieskim...

(Bzyczący głos)

< ...wyjść między ludzi i znaleźć tam sposoby, które On w Zatoce może znać. Nyarlathotepowi, Wielkiemu Posłańcowi, wszystko musi być opowiedziane. A on upodobni się do ludzi, nałoży woskową maskę i szatę, która go osłoni i spłynie ze Świata Siedmiu Słońc, aby oszukać...

(Ludzki głos)

...(Nyarl)athotep, Wielki Posłaniec, przynoszący dziwną radość Yuggothowi, Ojcu Milionów Umiłowanych Bóstw, Myśliwemu pośród...

(Rozmowa przerwana, koniec zapisu)

Oto słowa, których miałem wysłuchać nastawiwszy fonograf. Z drżeniem i oporem przestawiłem membranę i usłyszałem skrzypienie głowicy z szafiru. Rad byłem, że pierwsze, słabe, urywkowe słowa były wypowiedziane ludzkim głosem... łagodnym kulturalnym głosem, najwyraźniej z bostońskim akcentem, który z pewnością nie przynależał do żadnego z mieszkańców gór w Vermont. Kiedy tak wsłuchiwałem się w to ledwie słyszalne nagranie, okazało się, że wszystkie słowa brzmią identycznie, jak w starannie przygotowanym przez Akeleya tekście. Nucone były łagodnym, bostońskim głosem... !a! Shub-Niggurath! Kozą z Tysiącem Młodych!...

Potem usłyszałem inny głos. Jeszcze teraz przeszywa mnie dreszcz, kiedy to sobie przypomnę, jakie to na mnie

zrobiło wrażenie, choć byłem przygotowany uprzednim sprawozdaniem Akeleya. Osoby, którym to potem eszystko opisywałem, dostrzegły w tym tylko zwykłą szarlatanerię albo też szaleństwo; gdyby jednak osobiście się zetknęli z tą piekielną rzeczą, albo gdyby sami przeczytali wszystkie list Akeleya (zwłaszcza ów drugi list, prawie encyklopedyczny), jestem przekonany, że myśleli by zupełnie inaczej. A jednak bardzo żałuję, że posłuchałem Akeleya i nie nastawiłem fonografu innym do posłuchania... wielka też szkoda, że wszystkie jego list zginęły. Dla mnie, który odebrałem bezpośrednio dźwięki i znałem ich tło, oraz towarzyszące im okoliczności, była to wielka sprawa. Dźwięki te nastąpiły tuż po ludzkim głosem w rytualne obrzędy, w mojej wyobraźni było to schorzałe echo torujące sobie drogę poprzez niewyobrażalne otchłanie piekieł z niepojętego świata. Już dwa lata minęły od czasu gdy nastawiłem ten bluźnierczy zapis fonograficzny, ale jeszcze w tej chwili, zresztą jak w każdym innym momencie, słyszę to słabe, niespotykane bzyczenie, tak samo jak wtedy, gdy usłyszałem je po raz pierwszy.

"!a! Shub-Niggurath! Czarna Koza z Lasów z Tysiącem Młodych!" Choć głos ten wciąż rozbrzmiewa mi w uszach, do tej pory jednak nie zanalizowałem go na tyle, by sporządzić zapis graficzny. Przypominał bzyczenie jakiegoś ohydneho, wielkiego owada jakiegoś nieznanego gatunku, przy czym jestem głęboko przekonany, że jego narządy głosowe w niczym nie były podobne do narządów mowy człowieka ani też żadnego ssaka. Pewne szczególności w brzmieniu, układzie i wysokości tonów, umiejscawiały ten fenomen poza sferą ludzkości i ziemskiego życia. Nagłe zetknięcie się z tym głosem wprawiło mnie w osłupienie i pozostałą część zapisu wysłuchałem w jakimś abstrakcyjnym oszołomieniu. Kiedy nastąpił dłuższy fragment bzyczącej mowy, jeszcze bardziej nasiliło się we mnie poczucie bluźnierczej nieskończoności, którego już doświadczyłem podczas słuchania krótszych i wcześniejszych ustępów. Zapis skończył się nagle, w momencie, kiedy wyraźnie słychać było ludzką mowę o bostońskim akcencie; fonograf wyłączył się automatycznie, a ja długo jeszcze siedziałem zupełnie ogłupiały.

Nie potrzebuję chyba zapewniać, że nastawiałem ten wstrząsający zapis kilkakrotnie i że usilnie starałem się go przeanalizować i skomentować porównując z notatkami Akeleya. Byłoby to jednak bezużyteczne i zbyt kłopotliwe, aby powtarzać teraz wnioski jakie wyciągnęliśmy; mogę tylko zaznaczyć, że zgodnie ustaliliśmy, iż posiadliśmy klucz do źródła najbardziej odrażających odwiecznych zwyczajów, w tajemniczych prastarych regionach ludzkości. Stało się też dla mnie jasne, że istnieją dawne i bardzo przemyślane związki pomiędzy tajemniczymi istotami z innego świata i pewnymi przedstawicielami rasy ludzkiej. Ale jak rozległe były te związki i jak one się przedstawiały w stosunku do dawnych wieków, tego nie byliśmy w stanie ustalić; w najlepszym razie mieliśmy szerokie pole do nieograniczonych i strasznych spekulacji myślowych. Wydawało nam się, że musi istnieć od niepamiętnych czasów przerażająca więź, w kilku określonych etapach, pomiędzy człowiekiem i nieznaną nam nieskończonością. Te bluźniercze istoty, jak napomykano, przybywały na ziemię z ciemnej planety Yuggoth, znajdującej się na krawędzi systemu słonecznego, ale był to tylko przystanek dla tej strasznej międzygwiazdnej rasy, zaś główne jej źródło musiało się znajdować daleko poza einsteinowską ciągłością czsu i przestrzeni, a nawet poza całym znanym ogromem kosmosu.

Tymczasem prowadziliśmy naradę na temat czarnego kamienia i sposobu jego przewiezienia do Arkham. Akeley odradzał, abym złożył wizytę w miejscu, w którym prowadził swoje koszarne badania. Z nie znanych mi przyczyn obawiał się też zawierzyć go zwykłemu albo umówionemu środkom lokomocji. W końcu wpadł na pomysł aby zawieść go do Bellows Falls i nadać na linii Boston i Maine poprzez Keene i Winchendon oraz Fitchburg, mimo że musiał w tym celu jechać z nim rzadziej uczęszczanymi drogami i przez wzgórza porośnięte lasem, nie zaś autostradą Brattleboro. Kiedy wysłał zapis fonograficzny, zauważył jakiegoś człowieka, którego zachowanie i wygląd wzbudziły w nim nieufność. Zbyt gorliwie rozmawiał z urzędnikami i wsiadał do pociągu, którym został wysłany zapis fonograficzny. Akeley wyznał, że dopuki nie potwierdziłem odbioru, był niespokojny o los zapisu.

Mniej więcej w tym samym czasie - w drugim tygodniu lipca - jeszcze jeden mój list zaginął, jak wynikał z pełnej niepokoju korespondencji Akeleya. Potem już życzył sobie, abym nie wysyłał więcej listów na adres w Townshend, tylko na pocztę główną w Brattleboro do jego rąk własnych; postanowił tam jeździć albo własnym samochodem, albo autobusem, który ostatnio wyparł wolniejszy środek lokomocji, jakim była boczna linia kolejowa. Dostrzegłem u Akeleya coraz większy niepokój, opisywał bowiem szczegółowo zajadłe szczekanie psów w bezkieszcycowe noce, a take świeże ślady szponiastych łap, jakie co pewien czas odkrywał rano na drodze koło domu i na błotnistym terenie za farmą. W jednym z listów wspominał o całej armii tych śladów skierowanych wprost ku gęsto rozszanym i wyraźnym śladom psów, a na dowód przysłał mi budzące wstręt zdjęcie wykonane Kodakiem. Odkrył je po nocy, podczas której wycie i szczekanie psów przeszło wszelkie wyobrażenie.

W środę rano, 18 lipca, otrzymałem telegram nadany w Bellows Falls, w którym Akeley powiadał mi o wysłaniu czarnego kamienia pociągiem pociągiem Nr 5508, odjeżdżającym planowo z Bellows Falls o 12:15 i że powinien być na Północnym Dworcu w Bostonie o 16:12. Do Arkham powinien więc dotrzeć nazajutrz około południa, a więc cały czwartkowy ranek spędzić na oczekiwaniu w domu. Kiedy minęło południe i paczka nie nadeszła, zadzwoniłem do agencji wysyłkowej i dowiedziałem się, że nic do mnie nie przysłało. Ogromnie zaniepokojony zadzwoniłem do biura przesyłek na Północnym Dworcu w Bostonie; ku mojemu zdziwieniu dowiedziałem się, że tam również nie nadeszła do mnie żadna paczka. Pociąg Nr. 5508 przybył wczoraj z trzydziestopięciominutowym opóźnieniem, ale nie było w nim zaadresowanej do mnie skrzynki. Urzędnik jednak obiecał mi, że rozpocznie poszukiwania; pod koniec dnia wysłałem list do Akeleya opisując mu całą sytuację.

Nazajutrz po południu urzędnik z Bostonu, natychmiast po zbadaniu faktów, złożył mi telefoniczne sprawozdanie. Okazuje się, że kolejarz ekspresu Nr 5508 przypomniał sobie zdarzenie, które może wyjaśnić okoliczności mojej zguby - a mianowicie rozmowę mężczyzną o dziwnym głosie, szcuptym, jasnowłosym, wyglądającym na wieśniaka, kiedy pociąg stał w Keene, New Hampshire, tuż po pierwszej.

Człowiek ten był podobno bardzo zainteresowany ciężką skrzynką, zdawał się na nią oczekiwać, ale nie było jej ani w pociągu, ani w księgach przesyłkowych. Podał, że się nazywa Stanley Adams, a miał tak dziwnie gruby i monotonny głos że urzędnik kolejowy poczuł się jakoś nienormalnie senny i oszołomiony. Nie pamięta, jak zakończyła się rozmowa, ale przypomina sobie, że się ocknął dopiero wtedy, gdy pociąg ruszał. Urzędnik z Bostonu dodał, że młody pracownik kolejowy cieszy się nienaganną reputacją, jest prawdomówny i od dawna pracuje na tym stanowisku.

Tego samego wieczora, po zdobyciu nazwiska i adresu owego urzędnika pojechałem do Bostonu, aby zobaczyć się z nim osobiście. Był to człowiek szczerzy o ujmującym sposobie bycia, ale okazało się, że nie potrafi już nic więcej dodać. Dziwne, ale był pewien, że mógłby rozpoznać człowieka, który go wypytywał o skrzynię. Przekonawszy się, że już niczego więcej się nie dowiem, wróciłem do Arkham i do samego rana pisałem listy: do Akeleya, do towarzystwa przesyłkowego, na posterunek policji i do zawiadowcy stacji w Keene. Czułem, że człowiek o dziwnym głosie, który wywarł taki wpływ na urzędnika kolejowego, pełni zasadniczą rolę w tej złowieszczej historii, i miałem nadzieję, że pracownicy na stacji w Keene oraz zapisy telegraficzne na poczcie mogą naprowadzić na jego ślad, a także wyjaśnić, w jaki sposób, kiedy i gdzie przeprowadził swój wywiad.

Muszę przyznać, że moje śledstwo nie dało żadnego rezultatu. Rzeczywiście zauważono mężczyznę o dziwnym głosie na dworcu w Keene wczesnym popołudniem 18 lipca, a jeden z przechodniów nawet jakby sobie przypominał, że widział kogoś z ciężką skrzynią; nikomu jednak nie był znany, nie widziano go nigdy przedtem ani nigdy potem. Nie był na poczcie, ani też nie został przysłany dla niego żaden przekaz, jak zdołano sprawdzić, nie miał również dokumentu, który by świadczył o obecności czarnego kamienia w pociągu Nr 5508, żadne biuro nikomu takiego dokumentu nie wydało. Akeley oczywiście włączył się do poszukiwań, nawet wybrał się osobiście do Keene, żeby przepytać ludzi mieszkających w pobliżu dworca; jego stosunek do tej sprawy był o wiele bardziej fatalistyczny niż mój. Uznał, że strata skrzynki była złowieszczą i groźnym spełnieniem nieuniknionego losu, i stracił nadzieję aby można ją było kiedykolwiek odzyskać. Twierdził, że te górskie stwory i ich agenci są obdarzeni telepatyczną i hipnotyczną siłą, a w jednym z listów napisał nawet, że nie wierzy, aby kamień znajdował się jeszcze na ziemi. Mnie ogarniała wściekłość, bo czułem, że zapszepaszczona została szansa poznania doniosłych i ciekawych zjawisk, jakie mogły dostarczyć stare, pozacierane hieroglify. Dręczyłbym się tym mocno, gdyby nie następne listy Akeleya, w których sprawa górskich okropnych stworów wkroczyła w jakąś nową fazę, co pochłonęło całą moją uwagę.

[<- **Rozdział II**] [**Początek**] [**Rozdział IV** ->]

IV

Nieznane istoty, Akeley powiadał mi drżącym piśmem, zaczęły napierać na niego z całą determinacją. Nocą, ilekroć chmury przesłaniały księżyc, psy szczekały coraz zajadlej, a i w dzień, kiedy musiał przemierzać nieuczęszczane drogi, także usiłowano go w różny sposób dręczyć. Drugiego sierpnia, kiedy jechał swoim samochodem do wsi na głównej drodze, na odcinku otoczonym niewielkim lasem, znalazł gruby pień drzewa położony w poprzek drogi; zaciekle szczekanie dwóch wielkich psów, które wziął do samochodu, dobitnie świadczyło tym, że śledzą go z zaczejni gdzieś w pobliżu. Co by się stało, gdyby nie psy, nawet nie chciał sobie wyobrazić, ale nie wybierał się już teraz nigdzie bez swoich wiernych i silnych obrońców. Piątego i szóstego sierpnia zdarzyły się następne incydenty na drodze - za pierwszym razem kula drasnęła samochód, za drugim psy uprzedziły szczekaniem obecność tych ohydnych istot z gór.

Piętnastego sierpnia otrzymałem list pisany w pełnym grozy nastroju, który wielce mnie zaniepokoił. Pragnąłem aby Akeley zrezygnował już ze swego samotnego działania i odosobnienia, żeby odwołał się do pomocy prawa. W nocy z dwunastego na trzynastego sierpnia nastąpiło straszne wydarzenie - wokół farmy świastały kule a trzy z dwunastu wielkich psów Akeleya leżały martwe. Na drodze widniało mnóstwo śladów szponiastych łap, a wśród nich ślady stóp człowieka - Waltera Browna. Akeley natychmiast chwycił za słuchawkę chcąc zatelefonować do Brattleboro, aby przysłano mu więcej psów, ale nim zdążył coś powiedzieć, telefon umilkł. Pojechał więc samochodem do Brattleboro i tam dowiedział się, że konserwatorzy stwierdzili przecięcie głównego kabla w górach na północ od Newfane. Wyruszyli do domu z kilkoma skrzynkami amunicji do automatycznej strzeczki przeznaczonej na dużą zwierzynę i wzbogacony o cztery nowe, piękne psy. List został napisany w Brattleboro i dotarł do mnie bez żadnej zwłoki.

Przestałem przejawiać do tej sprawy stosunek naukowy, zacząłem wykazywać alarmująco osobiste zaangażowanie. Obawiałem się o Akeleya żyjącego samotnie w odosobnionej farmie, ale też zacząłem obawiać się o siebie, jako że bezpośrednio związałem się z wszystkim co dotyczy tych istot w górach. Sprawa przybierała coraz większy zasięg. Czy i mnie także wciągnie i pochłonie? W odpowiedzi na list Akeleya nakłoniłem go do szukania pomocy i wspominałem, że jeżeli on tego nie robi, to ja się tym zajmę. Napisałem też, że przyjadę do Vermont wbrew jego życzeniom i pomogę mu wytłumaczyć wszystko odpowiednim władzom. Otrzymałem na to telegram z Bellows Falls następującej treści:

Doceniam Pańskie stanowisko ale nic zrobić nie mogę proszę nie podejmować żadnych kroków bo to zaszkodzi nam obu i czekać na wyjaśnienie.

Henry Akeley

Sprawa jednak przybierała coraz gorszy obrót. W odpowiedzi na mój telegram otrzymałem wstrząsający list od Akeleya ze zdumiewającą wiadomością, że nie tylko nie wysyłał do mnie żadnego telegramu, ale nie otrzymał też

listu ode mnie, na który odpowiedzią miał być telegram. Przeprowadził pospiesznie śledztwo w Bellows Falls i dowiedział się, że telegram został nadany przez jasnowłosego mężczyznę o grubym, monotonnym głosie, ale niczego więcej nie zdołał się dowiedzieć. Urzędnik pokazał mu oryginalny tekst wypełniony ołówkiem, lecz pismo było Akeleyowi nieznane. Zauważył tylko, że w podpisie był błąd - Akely, bez drugiego "e". Nasuwały się nieuniknione przypuszczenia: świadczyło to o zbliżaniu się kryzysu, ale mimo to nie zaprzestał dociekliwych badań.

Poinformowałem mnie, że znowu zostały zabite psy, i że kupił następne a strzały stały się nieodłącznym elementem bezksiężycowych nocy. Ślady Browna a także ślady innych stóp ludzkich w butach widniały teraz pośród śladów szponiastych łap na drodze i na tyłach farmy. Akeley przyznał, że źle sprawy stoją; planował więc, że wkrótce przeniesie się do Kalifornii, gdzie zamieszka z synem, bez względu na to czy zdoła sprzedać starą farmę, czy nie. Trudno jednak opuszczać to jedyne miejsce, które zawsze było domem. Sprubuje jeszcze trochę przeciągnąć swój pobyt, może odstraszy natrętów, zwłaszcza jeżeli zrezygnuje z dalszych poczynań w celu zgłębienia ich tajemnic.

Odpisałem natychmiast, raz jeszcze ponawiając chęć pomocy i przyjazdu do niego, abyśmy wspólnie powiadomili władzę o zagrażającym mu niebezpieczeństwie. W kolejnym liście zdawał się już mniej sprzeciwiać wyjazdowi niż dotychczas, napisał jednak, że chciałby odłożyć te kroki na później, dopóki nie upożądkuje wszystkiego i nie pogodzi się z myślą, że opuszcza umiłowany dom rodzinny. Ludzie patrzą niechętnie na przeprowadzane przez niego badania i dociekliwe spekulacje, wolałyby więc wyjechać spokojnie i nie wywoływać zamieszania we wsi, w której mogłyby potem krążyć pogłoski o jego niepoczytalności. Przyznawał, że ma już tego dość, ale chce opuścić to miejsce w sposób godny.

List otrzymałem 28 sierpnia i natychmiast wysłałem odpowiedź starając się mu dodać otuchy. Poskutkowało, bo w następnym liście nie opisywał już tych okropności. Nie był jednak optymistycznie nastawiony i wyrażał przekonanie, że jest stosunkowo spokojnie tylko dzięki pełni księżyca, która powstrzymuje te stwory od dalszej działalności. Miał nadzieję, że podczas najbliższych nocy niebo będzie bezchmurne i wspominał coś mgliście o tym, że kiedy księżyc zacznie ubywać wszędzie na statek w Brattleboro. Znowu więc napisałem żeby, go podnieść na duchu, ale piątego września otrzymałem list od Akeleya; nasze listy najwyraźniej się minęły. Tym razem nie stać mnie już było na słowa otuchy. Ze względu na wagę zawartych w tym liście wiadomości, podam go w pełnym brzmieniu - odtwarzam z pamięci tekst napisany drżącą ręką. A oto co następuje:

Poniedziałek

Drogi Wilmarthie,

Dość ponure PS do mojego ostatniego listu. Ubiegłej nocy niebo zakryły gęste chmury - choć nie padał deszcz - przez które nie przebijał nawet skrawek księżyca. Stwory przystąpiły do ostrego ataku i sądzę, że wbrew naszym nadziejom zbliża się koniec. Po północy coś wylądowało na dachu mego domu a psy natychmiast rzuciły się ku temu czemuś. Słyszałem jak szczerkały i miały się zapamiętałe, po czym jednemu udało się skoczyć na dach z niskiej przybudówki. Rozpętała się zaciekle walka podczas której dobiegło mnie straszne i niezapomniane bzyczenie. Po chwili rozniósł się oszałamiający fetor. Jednocześnie posypały się przez okno kule, które omal mnie nie dosięgły. Myślę, że kiedy psy zajęte były toczącą się na dachu walką, całe stado tych stworów zbliżyło się do samego domu. Co się tam działo na dachu, nie mam pojęcia, ale obawiam się, że te istoty nauczyły się lepszego posługiwania się skrzydłami na ziemi. Zgasilem światło i z okien zrobiłem strzelnice. Kierując strzelbę wysoko, żeby nie trafić w psy, sypałem kulami wokół domu. W ten sposób przetrwałem najazd ale rano znalazłem na podwórku wielkie kałuże krwi, tuż obok kałuży ohydnej zielonej cieczy, która zionęła smrodem, jakiego jeszcze w życiu nie wahałem. Wspiąłem się na dach, gdzie również znalazłem ślady tej cuchnącej materii. Pięć psów zostało zabitych - jednego chyba ja sam trafiłem wycelowawszy zbyt nisko, bo trafiony był w grzbiet. Teraz wstawiam szyby, które zostały potłuczone i wybieram się do Brattleboro po więcej psów. Wydaje mi się, że ludzie w zakładzie dla psów uważają mnie za szaleńca. Wkrótce znowu napiszę. Sądzę, że za jakiś tydzień albo dwa będę gotów wyruszyć do Kalifornii, choć sama myśl o tym dobija mnie.

*Pisane w pośpiechu
Akeley*

Nie był to jedyny list Akeleya, który minął się z moim. Nazajutrz rano - szóstego września - otrzymałem następny; pisany był w tak strasznym pośpiechu, że po przeczytaniu straciłem całą odwagę i nie wiedziałem co powiedzieć ani też co zrobić. I znowu będzie chyba najlepiej, jeśli zacytuję go w całości, odtwarzając wszystko jak najwierniej z pamięci.

Wtorek

Chmury nie ustępują, księżyc wciąż nie świeci - i niechybnie pełni ubywa. Założyłbym elektryczność i zainstalował reflektor, ale wiem, że natychmiast przecięliby kabel, nie nadążyłbym z naprawą.

Wydaj mi się, że popadam w obłąd. Bardzo możliwe, że wszystko, co dotychczas napisałem, to po prostu sen albo objaw szaleństwa. To, co się dotąd zdarzyło, było straszne, ale to co dzieje się teraz, jest nie do zniesienia. Ubiegłej nocy rozmawiali ze mną... tym wstrętnym bzyczącym głosem... nie śmiem powtórzyć tego co mi mówili. Słyszałem wyraźnie mimo szczerkań psów, a nawet w pewnej chwili pomógł im ludzki głos. Trzymaj się od tego jak najdalej, Wilmarthie... to jest tak okropne, że przekracza Pańską i mijają wyobraźnię. Nie pozwolą mi przenieść się do kalifornii... chcą mnie zabrać żywego... albo w stanie, który teoretycznie i umysłowo oznacza "żywego"... nie tylko do Yuggoth, ale jeszcze dalej... poza galaktykę i prawdopodobnie poza ostatni zakrzywiony krąg przestrzeni

kosmicznej. Oznajmiłem im, że nie wybiorę się tam, gdzie sobie życzą czy też proponują, że mnie w tak okropny sposób zabiorą, ale obawiam się, że mój opór jest bez znaczenia. Mój dom znajduje się w takim odosobnieniu, że równie dobrze mogą się zjawić za dnia, jak i nocą. Znowu sześć psów zabitych, a kiedy jechałem dziś do Brattleboro, czułem ich obecność po obu stronach zalesionej drogi.

Popeliłem błąd wysyłając zapis fonograficzny i czarny kamień. Proszę zniszczyć ten zapis nim będzie za późno. Napiszę parę słów jutro, o ile tutaj jeszcze będę. Chciałbym przewieźć książki i inne rzeczy do Brattleboro. Gdybym mógł, uciekłbym bez niczego, ale coś mnie zatrzymuje. Mógłbym wymknąć się do Brattleboro, tam byłbym bezpieczny, ale czuję, że i tam będę takim samym więźniem, jak we własnym domu. I wydaje mi się, że nawet gdybym wszystko porzucił, nie zdołałbym uciec daleko. Jest to okropne... niech się Pan nie włącza w tą historię.

Pozdrawiam
Akeley

Po otrzymaniu tych strasznych wiadomości całą noc nie mogłem zasnąć, ogarnęło mnie też zwątpienie w zdrowy umysł Akeleya. Treść tego listu świadczyła raczej o jego niepoczytalności, ale sposób wyrażania - na tle wszystkiego, co się dotychczas wydarzyło - miał wymowę poważną i przekonującą. Nie odpowiedziałem na ten list, uznałem, że lepiej zaczekać, aż Akeley odpisze na mój, niedawno wysłany. I rzeczywiście już następnego dnia otrzymałem list, ale zawarty w nim całkiem nowy materiał przesłonił całkowicie odpowiedź na poruszone przezemnie zagadnienia. Oto treść, którą również odtważam z pamięci; list był tak zabazgrany i pozamazany, jakby autor pisał go w panicznym pośpiechu.

Środa

W...

List otrzymałem, ale już nie ma sensu omawiać niczego. Ogarnęła mnie rezygnacja. Zastanawiam się, czy starczy mi sił, do walki z nimi. Nie mogę uciec, nawet gdybym chciał wszystko zostawić. Wszędzie mnie osiągną.

Wczoraj dostałem od nich list, wręczył mi go jakiś człowiek z Brattleboro. Został napisany i wysłany w Bellows Falls. Informują co zamierzają ze mną zrobić... Nie mogę tego powtórzyć. Proszę na siebie uwarzać! Niech Pan zniszczy to nagranie. W nocy niebo jest wciąż przesłonięte chmurami, a księżycyca ubywa. Chciałbym otrzymać pomoc - może odzyskałbym wtedy siłę woli - ale każdy, kto by się odważył tu przybyć, uznałby mnie za obłąkanego, chyba, że znalazły by się jakieś dowody. Nie mogę tak bez przyczyny zwracać się z prośbą o przybycie do mego domu... nie utrzymuję z nikim kontaktu od wielu lat.

Nie napisałem jeszcze tego, co najgorsze. Niech się Pan mocno trzyma, bo to będzie szokujące. A jest to prawda. Otóż... widziałem i dotknąłem jednego z tych stworów albo też jakiejś jego części. Boże, jakie to okropne! Był oczywiście nieżywy. Któryś z psów go przechwycił, a znalazłem to dziś rano koło psiej budy. Chciałem schować w drewnitni, żeby mieć dowód, ale w ciągu paru godzin wszystko się ulotniło. Nic nie zostało. Jak Pan wie, wszystkie te stwory widziano na powierzchni rze pierwszego ranka po powodzi. A teraz następuje najgorsze. Chciałem to sfotografować dla Pana, ale kiedy wyciągnąłem aparat wszystko zniknęło, została tylko drewnitnia. Z czego więc te stwory są zbudowane? Widziałem je, dotykałem, zostawiają też po sobie ślady. Składają się z jakiejś materii... ale z jakiej? Trudno opisać ich kształt, jest to wielki krab z niezliczoną ilością sterczących, mięsistych pierścieni, albo też węzłów z gęstej, lepkiej substancji pokrytej czułkami, tam, gdzie u człowieka powinna być głowa. Ta zielona substancja to ich krew albo soki. Z każdą minutą coraz ich więcej na ziemi.

Nie ma Waltera Browna - nie widać, żeby się snuł jak zwykle po zakamarkach okolicznych wsi. Musiałem go trafić kulą, a te stwory zwykle zabierają swoich zmarłych albo rannych.

Dotarłem dzisiaj do miasta bez żadnych przeszkód, ale wydaje mi się, że trzymają się z daleka tylko dlatego, że są już pewni, że mnie mają. Piszę ten list na poczcie w Brattleboro. Może to już list pożegnalny... jeżeli tak, to proszę zawiadomic mojego syna, George'a Goodenough Akeleya, Pleasant Street 176, San Diego, Kalifornia, i tutaj nie przyjeżdżać. Proszę napisać do mego syna, jeżeli przez tydzień nie odszyma Pn ode mnie listu, no i radzę przeglądać gazety.

Zamierzam rozegrać moje ostatnie dwie karty... o ile jeszcze starczy mi sił. Chcę wypróbować na nich gazy trujące (zdołałem odpowiednio chemikalia i uszykowałem maski ochronne dla siebie i psów), a jeżeli to nie poskutkuje powiadomię szeryfa. Mogą mnie zamknąć w zakładzie dla umysłowo chorych... i tak będzie to lepsze, aniżeli to, co planują w stosunku do mnie owe stwory. Moze zdołam zwrócić uwagę na ślady wokół mego domu, są słabo widoczne, ale znajdują się rano. Możliwe jednak iż policja uzna, że ja sam je zrobiłem; wszyscy uważają, że mam dziwny charakter.

Powinienem nakłonić policjanta, aby spędził u mnie noc i sam zobaczył, tylko, że jak się te stwory o tym dowiedzą będą się trzymać z daleka odcinając mi telefon, ilekroć usiłuję w nocy gdzieś zadzwonić - konserwatorzy dziwią się i wkrótce mogą dojść do wniosku, że ja sam to robię. Już od tygodnia nie zwracam się do nich z prośbą o naprawę.

Mógłbym sprowadzić kilku prostych ludzi, którzy by poświadczyli tę straszną rzeczywistość ale wszyscy się śmieją z tego, co ci ludzie powiadają, a poza tym to oni już od tak dawna trzymają się od mego domu, że nie znają ostatnich wydarzeń. A do tego chyba zaden z tych podupadłych już farmerów za nic by nie chciał się zbliżyć do mego domu na odległość jednej mili. Listonosz nieraz słyszy, co mówią i stroi sobie żarty. Mój Boże, gdybym mu

powiedział, jak bardzo jest to prawdziwe. Sądzę jednak, że sprubuje mu pokazać te ślady, ale przyjeżdża po południu, a do tej pory już zwykle znikają. Gdybym zachował jakiś ślad, ochroniwszy go pudełkiem czy jakąś miską na pewno uznałby to za fałszerstwo albo żart.

Szkoda, że stałem się takim odludkiem i że nikt do mnie nie zagląda, jak dawniej bywało. Nie odważyłbym się pokazać czarnego kamienia ani zdjęć, ani też nastawić mojego nagrania nikomu, chyba że tym prostym ludziom. Inni powiedzieli by, że to wszystko sobie wymyśliłem i tylko wzbudziłoby to ich śmiech. Ale mogą jeszcze pokazać im te zdjęcia. Widać na nich wyraźnie ślady szponiastych stóp, choć samych tych istot nie można sfotografować. Jaka szkoda, że nikt oprócz mnie nie widział dzisiaj tej rzeczy, zanim się ulotniła.

Sam już nie wiem czy mi na tym zależy. Po tym, co przeszedłem, zakład dla umysłowo chorych jest równie dobry jak inne. Lekarze mogą mi pomóc w podjęciu decyzji, aby opuścić ten dom, a przecież tylko taki krok może mnie ocalić.

Proszę napisać list do mojego syna, George'a, jeśli nie otrzyma pan wkrótce listu ode mnie. Żegnam, proszę zniszczyć zapis i nie mieszać się do tej sprawy.

*Pozdrawiam
Akeley*

List nappełnił mnie przerażeniem. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, napisałem więc parę beładnych słów, żeby dodać mu odwagi i udzielić rady, po czym wysłałem jako list polecony. Przypominam sobie, że ponaglałem Akeleya, aby się natychmiast przeniósł do Brattleboro i przebywał tam pod opieką władz; dodałem też, że przyjadę do tego miasta z zapisem fonograficznym i przekonam wszystkich, że jest jak najbardziej zdrowy na umyśle. Nadszedł już czas, wydaje mi się, że tak napisałem, aby ostrzec ludzi przed tymi rzeczami, w których zasięgu żyją. W tej tak bardzo stresowej chwili głęboko wierzyłem we wszystko co Akeley mówił i przy czym obstawał, ale jednocześnie uważałem, że przyczyną nieudanej próby sfotografowania tego nieżywego potwora był nie jakiś kaprys natury, ale błąd popełniony przez samego Akeleya.

[<- **Rozdział III**] [**Początek**] [**Rozdział V** ->]

V

Potem, znów rozminąwszy się z moją, krótką, chaotyczną notatką, w sobotę po południu ósmego września nadszedł zupełnie inny niż dotychczas, ogromnie uspokajający i starannie napisany na nowej maszynie list; zawarte w nim było zapewnienie, że wszystko jest w porządku, a także zaproszenie dla mnie, co zupełnie zmieniało obraz tego koszmarnego dramatu w opustoszałych górach. Znowu zacytuję go z pamięci... i postaram się jak najwierniej zachować styl, w jakim był utrzymany. Został nadany w Bellows Falls, przy czym nie tylko cały tekst, ale i podpis był wybitny na maszynie, co się często zdarza ludziom, którzy po raz pierwszy mają do czynienia z maszyną. Jak na nowicjusza został napisany bardzo porządnie, toterz uznałem, że Akeley musiał kiedyś często korzystać z maszyny... może w czasie studiów w college'u ? Gdybym miał powieścić, że list przyniósł mi ulgę, było by to tylko powierzchowne stwierdzenie, bo podświadomie czułem niepokój. Jeżeli Akeley był zdrowy na umyśle, kiedy żył w lęku, to czy również był zdrowy teraz wyzwolony od niego ? A ten " udoskonalony raport "... co miał właściwie oznaczać? Widać było wyraźnie, że Akeley zmienił diametralnie stosunek. Podaję więc cały tekst starannie odtworzony z pamięci, co nappełnia mnie dumą.

*< Townshend, Vermont,
Czwartek, 6 września, 1928*

*Mój drogi Wilmarthie,
Z prawdziwą przyjemnością piszę ten list, gdyż mogę Pana uspokoić odnośnie wszystkich tych "głupot", jakie dotychczas wypisywałem. Używając określenia "głupoty" mam na myśli moje lęki, a nie opisy pewnych zjawisk. Owe zjawiska są rzeczywiste i dosyc ważne; błąd mój polegał na niewłaściwym do nich stosunku.*

Wydaje mi się, że wspomniałem, iż moi dziwni goście zaczynają się ze mną kontaktować i starają się ze mną nawiązać łączność. Wczorajszej nocy nastąpiła między nami wymiana słów. W odpowiedzi na pewne sygnały zgodziłem się przyjąć u siebie w domu ich posłańca - nadmieniam spieszenie, że człowieka. Wyjaśnił mi wiele spraw, jakich ani Pan, ani ja się nie domyślałem, i wykazał mi jak bardzo myliliśmy się i jak niewłaściwie interpretowałem cel Obcych Istot zmierzając do zachowania w tajemnicy pobyt na tej planecie.

Wydaje mi się, że wszystkie złe legendy o tym, co mają te istoty do zaferowania ludziom i jakie mają zamiary wobec ziemi, są rezultatem nieświadomego i niewłaściwego zrozumienia alegorycznej mowy - ukształtowanej na kulturalnym podłożu i zwyczajach myślowych zupełnie innych, niż sobie wyobrażamy. Moje własne domniemania były również błędne jak domniemania prostych farmerów albo dzikich Indian. To, co wydawało mi się patologiczne, haniebne i bezecne, w rzeczywistości budzi nabożny szacunek, rozszerza horyzonty myślowe, jest nawet wspaniałe, a moja dotychczasowa ocena opierała się, na odwiecznej tendencji człowieka do nienawiści, lęku i odrzy w stosunku do tego, co jest zupełnie inne.

Żałuję teraz, że taką krzywdę wyrządziłem tym obcym i niewiarygodnym istotom podczas naszych nocnych utarczek. Szkoda, że nie zgodziłem się od samego początku porozmawiać z nimi spokojnie i rozsądnie ! Ale nie żywią do mnie żalu, ich postępowanie jest całkiem inne od naszego. Złe się składa, że ich przedstawiciele w

Vermont to ludzie pośledniej natury, jak na przykład Walter Brown. To on właśnie usposobił mnie do nich niechętnie. Tymczasem oni nigdy jeszcze świadomie nie działali na szkodę człowieka, natomiast ludzie wyrządzali im niemało zła i usiłowali ich szpiegować. Istnieje tajemniczy kult złych ludzi (ktoś o tak wielkiej erudycji jak Pan zrozumie mnie jeśli powiąże ich z Hasturem czy Żółtym Znakiem), który stawia sobie za cel niszczenie ich i czynienie im krzywdy tylko dlatego, że jest to wielka siła z innych obszarów kosmicznych. To właśnie przeciw tym agresorom - nie zaś przeciw ludziom - podejmowane są przez Obce Istoty drastyczne środki ostrożności. Przynajmniej dowiedziałem się, że niektóre nasze listy zostały skradzione właśnie przez emisariuszy tego okropnego kultu a nie przez Obce Istoty.

Obce Istoty pragną tylko aby człowiek dał im spokój, nie molestował ich, aby zapanował porozumienie oparte na intelektualnych podstawach. Jest to konieczne w sytuacji, w której odkrycia i różne pomysły poszerzają naszą wiedzę i coraz bardziej uniemożliwiają Obcym Istotom zachowanie ich placówek na naszej planecie w tajemnicy. Pragną one poznać ludzi lepiej, pragną także, by paru filozofów i naukowców wiedziało o nich coś więcej. Przy takiej wymianie wzajemnej wiedzy minie wszelkie zło, a zapanuje zadowolające modus vivendi. Sama myśl o zniewoleniu i poniżeniu ludzkości jest śmieszna.

Dla zapoczątkowania tego porozumienia Obce Istoty wybrały naturalnie mnie - przecież posiadałem już o nich znaczną wiedzę - jako ich pierwszego emisariusza na ziemi. Dużo mi powiedziały wczorajszej nocy... fakty o niesłychanym znaczeniu, otwierające nowe perspektywy... a stopniowo będą mi przekazywać coraz więcej, tak ustnie, jak i pisemnie. Jak na razie nie otrzymam wezwania do podróży poza naszą planetę, choć pewnie z czasem sam tego będę chciał... kiedy już opanuję pewne sposoby i wykręcę ponadto, co przywykliśmy tutaj na ziemi uznawać za doznania człowieka. Mój dom już nie będzie napastowany. Wszystko wróciło do normalnego stanu, psy już nie będą miały zajęcia. Przestałem się lękać, natomiast zdobyłem taką wiedzę i doświadczyłem przygody tak bardzo intelektualnej, że niewielu śmiertelnikom przypadło to w udziale.

Obce Istoty to chyba najcudowniejsze istoty organiczne, tak w przestrzeni i czasie, jak i poza nimi - są to członkowie rasy rozprzestrzenionej w kosmosie, a wszystkie inne formy życia są tylko zdegradowanymi wariantami. Są bardziej rośliną niż zwierzęciem, o ile te określenia mogą się wogóle odnosić do materii, z jakiej się składają, a która pod względem budowy przypomina grzyby; jednakże obecność niby chlorofilowej substancji i zupełnie niezwykły sposób odżywiania w niczym nie przypominają grzybów. Rzeczywiście rodzaj materii z jakiej są zbudowane, jest całkowicie nieznaną w naszej części przestrzeni kosmicznej, a ich elektrony mają zupełnie inną skalę wibracji. Dlatego właśnie tych istot nie można sfotografować aparatem i kliszą znaną w naszym wszechświecie, mimo, że jesteśmy zdolni ich widzieć. Przy odpowiedniej jednakże wiedzy dobry chemik mógłby sporządzić fotograficzną emulsję, z pomocą której można by zrobić im zdjęcie.

Istoty te są unikalne, potrafią bowiem przemierzać nieograniczoną i pozbawioną powietrza próżnię międzygwiazdową całym swym cielesnym kształtem, natomiast ich różne odmiany nie mogą tego robić bez mechanicznej pomocy albo jakiś dziwnych hirurgicznych transpozycji. Tylko kilka gatunków, takich jak te w Vermont, posiada odporne na próżnię skrzydła. Istoty przebywające na odległych szczytach w Starym Świecie zostały sprowadzone w inny sposób. Ich wygląd zewnętrzny upodobniony do zwierząt i struktura, którą przywykliśmy nazywać materią, jest raczej kwestią paralelnej ewolucji aniżeli bliskiego pokrewieństwa. Ich sprawność umysłowa przewyższa wszelkie inne istniejące formy życia, ale skrzydlate istoty z naszych gór są bez wątpliwości najwyżej rozwinięte. Ich najbardziej powszechnym środkiem porozumiewania się jest telepatia, a my, choć mamy szczątkowe narządy głosowe, to jednak po przeprowadzeniu drobnego zabiegu (chirurgia jest wśród nich na bardzo wysokim poziomie i stanowi element ich codziennego życia) możemy naśladować mowę takich organizmów, które wciąż jeszcze posługują się mową.

Ich główną i najbliższą siedzibą jest nieodkryta jeszcze i prawie całkiem pozbawiona światła planeta na samej krawędzi naszego systemu słonecznego - tuż za Neptunem, a dziewięta jeśli chodzi o odległość od słońca. Jak wywnioskowaliśmy jest to właśnie obiekt zwany "Yuggoth", o którym tajemniczo wspomina się w zakazanych, starych zapisach; stanie się ona wkrótce miejscem zogniskowania myśli na naszym świecie, aby ułatwić porozumienie umysłowe. Nie byłbym zdziwiony, gdyby astronomowie stali się wrażliwi na prądy myślowe i odkryli Yuggoth, kiedy Obce Istoty sobie tego zażyczą. Ale Yuggoth jest oczywiście tylko odskocznią. Większość tych istot zamieszkuje dziwnie zorganizowane otchłanie, będące całkowicie poza zasięgiem ludzkiej wyobraźni. Czasoprzestrzeń kuli, którą uważamy za całokształt naszego kosmosu, jest w rzeczywistości tylko atomem prawdziwej nieskończoności, która jest ich udziałem. Zostanie przedemną otwarta taka część nieskończoności, którą umysł ludzki może objąć, a jaką dotychczas otwarto najwyżej przed pięćdziesięcioma osobami, od czasu istnienia rasy ludzkiej na ziemi.

W pierwszej chwili nazwie Pan to napewno brednią, z czasem jednak doceni Pan tę ogromną okazję, jaka przypadła nam w udziale. Chcę się z Panem podzielić wszystkim jak najdokładniej, ale są tysiące spraw, których nie mogę przebrać na papier. Przedtem odradzałem Panu przyjazd do mnie. Teraz, kiedy nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo, odwołuje moje zakazy i zapraszam.

Czy nie mógłby Pan się wybrać zanim rozpoczną się zajęcia w college'u ? Byłoby to cudowne. Proszę przywieść ze sobą zapis fonograficzny i wszystkie moje listy, które posłużą nam do dyskusji - przydadzą się nam do powiązania wszystkich wątków w jedną wspaniałą historię. Dobrze by też było gdyby przywiózł Pan zdjęcia, bo ja w tym całym zamieszaniu, jakie miałem ostatnio, gdzieś zapodziałem negatywy i odbitki. A jaką obfitością faktów mogę wzbogacić cały ten oparty dotąd na przypuszczeniach materiał... i jak niesłychanymi środkami dysponuję do ich uzupełnienia...

Proszę się nie wahać... jestem teraz wolny, nikt mnie nie śledzi, nie spotka się Pan z niczym co by mogło się wydać nienaturalne albo niepokojące. Proszę przyjeżdżać, mój samochód będzie oczekiwać w Brattleboro... i niech się Pan postara aby mógł u mnie pobyt jak najdłużej, czekają nas długie wieczorne rozmowy o rzeczach, które są poza zasięgiem rozumu ludzkiego. Oczywiście nikomu proszę o tym nie wspominać... ta sprawa nie może być znana postronnym ludziom.

Dojazd pociągiem do Brattleboro jest całkiem wygodny... w Bostonie proszę sprawdzić rozkład. Najlepiejjechać główną linią do Greenfield i przesiąść się, wtedy pozostaje już krótki odcinek podróży. Proponuję dogodny osobowy pociąg z Bostonu o 16:10, w Greenfield jest o 19:35, a do Brattleboro pociąg odjeżdża o 21:19, gdzie przybywa o 22:01. Taki jest rozkład w zwykłe dni tygodnia. Niech mnie Pan powiadomi o dacie przyjazdu, a mój samochód będzie oczekiwał na stacji.

Proszę mi wybaczyć, że ten list piszę na maszynie, ale ostatnio trochę drży mi ręka i nie czuję się na sile pisać odręczne dłuższych tekstów. Wczoraj kupiłem w Brattleboro maszynę do pisania "Corona" - wydaje mi się całkiem niezła.

Oczekuję wiadomości i wyrażając nadzieję na Pański przyjazd z fonograficznym zapisem i wszystkimi moimi listami... a także ze zdjęciami...

*Serdecznie pozdrawiam
Henry W. Akeley*

*Do Alberta N. Wilmartha, Esq.
Miscatonic University,
Arkham, Mass.*

Wszystkie moje uczucia po pierwszym, a potem wielokrotnym czytaniu i rozważaniu tego dziwnego i niespodziewanego listu są nie do opisania. Powiedziałem, że doznałem jednocześnie ulgi i niepokoju, oddaje to jednak tylko powierzchownie zupełnie inne i w dużej mierze podświadome uczucia, w których zawierała się ulga i niepokój. Cała ta historia diametralnie różniła się od całego łańcucha poprzedzających ją koszmarów - a zmiana nastroju od strasznego lęku do spokojnego samozadowolenia, a nawet egzaltacji, była zaskakująca, błyskawiczna i wprost niesłychana! Nie mogłem uwierzyć, żeby w ciągu jednego dnia mógł się człowiek aż tak przeobrazić, żeby takiej zmianie mógł ulec jego stan psychiczny, bo przecież jeszcze w środę przekazał tyle strasznych wiadomości. Chwilami wydawało mi się to wszystko pełne sprzeczności i nierealne, zastanawiałem się, czy cały ten relacjonowany z daleka dramat o owych siłach ze świata fantazji nie jest przypadkiem iluzorycznym snem. Potem jednak przypomniałem sobie zapis fonograficzny i ogarnęło mnie jeszcze większe oszołomienie. List był tak nieoczekiwany, tak zupełnie inny niż wszystkie dotychczasowe! Kiedy zacząłem analizować moje wrażenia, stwierdziłem, że zarysowują się w nich dwie zasadnicze kwestie. Po pierwsze, jeżeli Akeley był i jest nadal zdrowy na umyśle, to zbyt szybko i nieoczekiwanie zmienił stosunek do tej sprawy. Po drugie, jego zachowanie, pogląd na omawiane zjawiska i słownictwo daleko wykraczały poza normę i jakiegokolwiek przewidywania. Cała osobowość tego człowieka zdawała się jakby ulec zdradliwej mutacji - mutacji tak głębokiej, iż trudno było pogodzić te dwa aspekty z przypuszczeniem, że oba reprezentowały jednakowy stan zdrowego umysłu. Dobór słów, budowa zdań - były zupełnie inne. A przy moim wyczuleniu na styl prozy, natychmiast dostrzegłem znaczne rozbieżności w najprostrzych reakcjach i oddźwiękach. Doprawdy wielki to emocjonalny kataklizm albo też wielkie objawienie, skoro spowodowały tak radykalną przemianę. Ale mimo to list zdawał się być dość typowy dla Akeleya. Ta sama dawna pasja w stosunku do nieskończoności, ta sama naukowa dociekliwość. Ani przez chwilę nie potrafiłem tego traktować jako symulację czy też zmianę stosunku wynikającą ze złośliwości. Czyż samo zaproszenie... chęć, abym osobiście przekonał się o prawdzie zawartej w tym liście, nie świadczyła o jego autentyczności?

W sobotę nie położyłem się spać, całą noc przesiedziałem rozmyślając nad wątpliwościami i zdumiewającymi aspektami tego listu. Mój umysł, zmęczony szybkim następstwem wielkich wydarzeń, jakim musiał stawić czoło w przeciągu ostatnich czterech miesięcy, zmagał się teraz z niezwykłym i całkiem nowym materiałem pośród rozlicznych wątpliwości i akceptacji; znowu pokonywałem te same etapy, podobnie jak na początku, kiedy po raz pierwszy zetknąłem się po raz pierwszy z tymi niesłychanymi zjawiskami; nim jeszcze nastał świt, opuściły mnie zdumienie i niepokój, natomiast pałałem płomiennym zainteresowaniem i ciekawością. Bez względu na to, czy było to szaleństwo, czy zdrowy rozsądek, przeobrażenie czy wyzwolenie z lęku, istniała szansa, że Akeley natknął się na coś, co spowodowało zasadniczą zmianę, jeśli chodzi o przyszłość jego ryzykownych badań naukowych; przestało zaprzącać niebezpieczeństwo - prawdziwe czy wymaginowane - otwarty się natomiast oszałamiające i nowe perspektywy dla wiedzy o kosmosie, będącej poza zasięgiem ludzkich możliwości. I we mnie rozgorzał zapał, aby poznać nieznanne, czułem, że ulegam tej zaraźliwej chęci przełamania osobliwej zapyry. Odrzucić szalone i męczące ograniczenia czasu, przestrzeni i praw przyrody - przybliżyć się do mrocznych i niezgłębionych tajemnic nieskończoności i ostateczności - o tak, warto to, aby zaryzykować życie, duszę i umysł! A przecież Akeley zapewnił, że żadne niebezpieczeństwo już nie grozi, zaprosił mnie do złożenia mu wizyty, chociaż dotąd ciągle mnie przed tym przestrzegał. Aż dreszcz mnie przechodził na myśl o tym, co teraz może mi powiedzieć - ogarniała mnie prawie że paraliżująca fascynacja, kiedy wyobrażałem sobie, jak zasiądę w samotnej, a tak jeszcze niedawno obleganej farmie, razem z człowiekiem, rozmawiał z prawdziwymi emisariuszami dalekich przestworzy; obok nas będzie leżał ten straszny zapis i stos listów, w których Akeley zawarł swoje wcześniejsze wnioski.

Tak więc w niedzielę późnym rankiem wysłałem do Akeleya depeszę zawiadamiając go, że przyjadę do Brattleboro

w najbliższą środę - 12 września - o ile ten termin jest dla niego dogodny. Tylko pod jednym względem nie zastosowałem się do jego propozycji, a mianowicie z wyborem pociągu. Szczęże mówiąc nie miałem ochoty przybywać do tego nawiedzonego Vermontu późnym wieczorem; nie zaakceptowałem pociągu, jaki mi wybrał, tylko zatelefonowałem na dworzec i wybrałem inne połączenia. Jeśli wstanę rano i wsiądę do pociągu w Bostonie o 8.07, zdążę się przesiąść na pociąg do Greenfield o 9.25, dokąd dojadę o 12.22 i zaraz będę miał pociąg do Brattleboro. Zajadę na miejsce o 13.08, nie o 22.01. Przyjemniej będzie o takiej porze spotkać się z Akeleyem i jechać z nim pośród gęsto skupionych, sekretnie strzeżonych gór.

Zawiadomiłem go o tej zmianie telegraficznie i jeszcze przed wieczorem otrzymałem depezę, z której wynikało, że spotkała się z aprobatą mego przyszłego gospodarza, co mnie bardzo ucieszyło. Jego depeza zawierała następujący tekst:

Wszystko w porządku oczekuję na pociąg pierwsza osiem środa proszę pamiętać o zapisie listach i zdjęciach wszystko w porządku czekają wielkie rewelacje

Akeley

Depesza od Akeleya, będąca bezpośrednią odpowiedzią na wysłaną przezemnie depezę, a niewątpliwie dostarczona mu do domu przez posłańca wprost ze stacji w Townshend albo też przekazana telefonicznie - a więc linia została naprawiona - zatarła wszelkie wątpliwości odnośnie autorstwa tego bulwersującego listu. Doznałem ulgi, większej niż mogłem się w owym czasie spodziewać, ponieważ wszystkie tego rodzaju wątpliwości tkwią zwykle bardzo głęboko. Spałem tej nocy spokojnie i długo, a następne dwa dni miałem wypełnione przygotowaniem do podróży.

[<- **Rozdział IV**] [**Początek**] [**Rozdział VI** ->]

VI

Tak jak zaplanowałem, wyruszyłem we środę z walizką pełną najpotrzebniejszych rzeczy i materiałów naukowych, a także zapisem fonograficznym, zdjęciami i całym stosiem listów. Zgodnie z prośbą Akeleya nikogo nie powiadomiłem, dokąd się wybieram, rozumiałem bowiem, że sprawa ta wymaga absolutnej tajemnicy, choć przybrała taki pomyślny obrót. Na samą myśl o prawdziwym umysłowym kontakcie z Istotami Obcymi, z innego świata, czułem oszołomienie, a przecież miałem już w tym zakresie pewne przygotowanie. Skoro więc na mnie wywarło to taki wpływ, to jaki wywarło by na szersze masy laików? Nie wiem, co bardziej we mnie dominowało, lęk czy chęć przygody, kiedy przesiadałem się w Bostonie i rozpoczynałem długą podróż na Zachód, pozostawiając znajome mi tereny, a wyruszając w nieznaną. Waltham - Concord - Ayer - Fitchburg - Gardner - Athol...

Mój pociąg przyjechał do Greenfield z siedmio minutowym opóźnieniem, ale ekspres zmierzający na północ jeszcze nie odjechał. W pośpiechu zdążyłem się przesiąść. Kiedy wagony turkotały w słońcu wczesnego popołudnia poprzez tereny, o których tylko czytałem, a których nigdy jeszcze nie widziałem, czułem, że z wrażenia zapiera mi dech. Zdawałem sobie sprawę, że wkraczam w zachowującą jeszcze dawny styl życia i bardziej prymitywną Nową Anglię, aniżeli zmechanizowane, wypełnione miastami nadbrzeże i południowe tereny, pośród których spędziłem dotychczasowe życie; była to stara, nieskażona Nowa Anglia, bez cudzoziemców i fabrycznego dymu, bez tablic z ogłoszeniami i asfaltowych dróg, bez nowoczesnej cywilizacji. Tutaj zetknę się z dziwnym tubylczym życiem, które się wcale nie zmienia, a którego korzenie wrosnięte są głęboko w tutejszy krajobraz. Wciąż żywe dawne wspomnienia użyźniają tę ziemię, pełne sekretnych, cudownych wierzeń, o których jednak nieczęsto się tu mówi.

Co pewien czas migąła mi w słońcu rzeka Connecticut, wkrótce przejechaliśmy przez nią, minąwszy Northfield. Przed nami wyłoniły się zielone, tajemnicze wzgórza, a kiedy pojawił się konduktor, dowiedziałem się, że nareszcie wjechaliśmy na tereny Vermont. Kazał mi cofnąć zegarek o godzinę, ponieważ północna górzysta kraina nie ma nic wspólnego z czasem wprowadzonym gdzie indziej. Zrobiłem, jak mi poradził, ale wydało mi się, że cofnąłem kalendarz o całe stulecie.

Linia kolejowa biegła wzdłuż rzeki, a po drugiej stronie, w New Hampshire, wyłaniał się coraz wyraźniej stromy stok Wantastiquet, na temat której krążyły liczne stare legendy. Wkrótce po lewej stronie pojawiły się ulice, a po prawej, pośrodku płynącej tu rzeki, zielona wysepka. Pasażerowie zaczęli się podnosić ze swoich miejsc i gromadzić przy dźwiach, więc ja też się do nich przyłączyłem. Pociąg przystanął i wysiadłem na długi, kryty peron stacji Brattleboro.

Patrząc na czekające przed stacją samochody zastanawiałem się, który z nich jest Fordem Akeleya, ale zostałem rozpoznany, nim jeszcze sam zdołałem przejawić jakąkolwiek inicjatywę. Jednakże człowiek, który podszedł do mnie z wyciągniętą ręką i łagodnym głosem zadał mi pytanie, czy to właśnie ja jestem Albertem N. Wilmarthem z Arkham, nie był na pewno Akeleyem. Pod żadnym względem nie przypominał Akeleya z brodą, znanego mi ze zdjęcia; był młodszy, modnie ubrany, wyglądał na człowieka z miasta, miał małe, ciemne wąsy. Jego głos o kulturalnym brzmieniu wydał mi się dziwnie i wprost niepokojąco znajomy, ale nie potrafiłem go umiejscowić w mojej pamięci.

Kiedy mu się przyglądałem, wyjaśnił, że jest przyjacielem mego gospodarza i że przyjechał zamiast niego prosto z Townshend. Powiedział, że Akeley dostał nagle ataku astmy i nie czuł się na siłach, aby wyjechać z domu. To nic poważnego, plany związane z moją wizytą nie ulegają żadnej zmianie. Noyes - tak właśnie się przedstawił -

zorientowany był w badaniach prowadzonych przez Akeleya i jego odkryciach, ale jego niedbały i dość swobodny sposób bycia świadczył raczej o tym, że jest nietutejszy. Pamiętałem dobrze, jak odosobnione i zamknięte życie prowadził Akeley, byłem więc trochę zdziwiony, że z taką łatwością dobrał sobie tego rodzaju przyjaciela; jednakże powyższe wątpliwości nie powstrzymały mnie od zajęcia miejsca w samochodzie, do którego mnie zaprosił. Nie było to małe auto starego typu, jakiego się spodziewałem, zgodnie z opisem Akeleya, tylko duży, nowoczesny wóz - bez wątplenia własność Noyesa, z tablicą rejestracyjną z Massachusetts i zabawnym godłem tego roku w postaci "świętego dorsza". Doszedłem do wniosku, że mój przewodnik zapewne spędza lato w okręgu Townshend.

Noyes usiadł obok mnie w samochodzie i natychmiast ruszyliśmy. Rad byłem, że nie jest specjalnie rozmowny, bo specyficzna atmosfera i związane z nią napięcie nie napełniały mnie ochotą do wymiany zdań. Miasto wyglądało atrakcyjnie w południowym słońcu, kiedy tak mknęliśmy pod górę, a następnie skręciliśmy w prawo na główną ulicę. Zdawało się drzemać, jak wszystkie stare miasta Nowej Anglii, pamiętane z dzieciństwa, zaś kontury dachów, wieżyc, kominów i murów z cegły poruszały struny najgłębszych emocji, przekazanych jeszcze przez dawne pokolenia. Odniosłem wrażenie, że znajduję się u wrót zaczarowanej krainy, na której czas nawarstwia się i nigdy nie mija, a wszystkie stare i niezwykle zjawiska trwają tu wiecznie, nigdy nie niepokojone.

Po minięciu BATTLEBORO napięcie i trapiące mnie przeczucia jeszcze bardziej się wzmocniły, bo ten przedziwny krajobraz zatłoczony wzgórzami, pełen groźnych, unoszących się nad wszystkim i napierających zewsząd zielonych i granitowych stoków bezustannie przypominał o kryjących się tu tajemnicach i przetrwałych od niepamiętnych czasów istotach, które mogą być wrogi ludzimi, ale nie muszą. Przez pewien czas jechaliśmy wzdłuż szerokiej, dość płytkiej rzeki, wypływającej z nieznanych gór i dreszcz mnie przeszył, gdy mój współtowarzysz objaśnił, że jest to West River. Przypomniałem sobie wiadomość zamieszczoną w gazecie, że to właśnie na powierzchni tej rzeki płynęły po powodzi owe straszne istoty podobne do krabów.

Okolica stawała się stopniowo coraz bardziej dzika i odludna. Stare, kryte mostki wyłaniały się ze strasznej przepaści w zagłębieniach skalnych, a niemal już zapomniana linia kolejowa biegnąca równolegle do rzeki emanowała prawie widocznym spustoszeniem. W rozległej, groźnie wyglądającej dolinie sterczały ogromne urwiska, dziewiczy granit Nowej Anglii, przeświecający pośród żywej zieleni surową szarością skalnych grani. Widać też było wąwozy, w których dziko płynęły potoki niosąc z sobą ku rzece niepojęte tajemnice tysięcy niedostępnych gór. Co pewien czas rozchodziły się na różne strony wąskie, ledwo widoczne dróżki, które wkraczały w gęste, mroczne lasy, tam pośród starych drzew czaiły się zapewne całe armie nieziemskich duchów. Kiedy to wszystko ujrzałem, przypomniało mi się, jak Akeleya, przejeżdżającego tym właśnie szlakiem, napastowali niewidzialni wysłannicy i już niczemu nie byłem w stanie się dziwić.

W niecałą godzinę dojechaliśmy do Newfane, dość osobliwej, ale ładnej wsi, będącej ostatnim ogniwem łączącym ze światem, który człowiek może nazwać swoim, na zasadzie podboju i zasiedlenia. Pozostawiliśmy za sobą wszystko, co było podporządkowane w sposób bezpośredni i namacalny rzeczywistości, na czym znać było ślad minionego czasu, a znaleźliśmy się w świecie fantazji i spokoju, w którym wąska dróżka niby wstęga wznosiła się, to znów opadała wijąc się kapryśnie, ale jakby świadomie i w określonym celu, pośród bezludnych zielonych wzgórz i prawie pustynnych dolin. Poza warkotem motoru i nikłymi śladami życia w postaci kilku samotnych farm mijanych z rzadka, dobiegały tu zdradzieckie odgłosy szmerzących źródeł, których niezliczona ilość kryła się w ciemnych, tajemniczych lasach.

Bliskość i intymność kopulastych wzgórz zapierała mi dech w piersiach. Były o wiele bardziej strome i urwiste, niż sobie wyobrażałem znając je z opowieści, i zdawały się nie mieć nic wspólnego ze znanym nam prozaicznym światem. Gęste nieuczesane lasy na tych niedostępnych stokach zdawały się kryć w sobie wprost niepojęte i niewiarygodne rzeczy i czułem, że same zarysy tych gór mają jakieś dziwne, a zapomniane już przez całe eony lat znaczenie, tak jak by były olbrzymimi hieroglifami, pozostawionymi tutaj przez jakąś tajemną rasę, której chwała trwa jeszcze niekiedy w głębokich snach. Legendy z dalekiej przeszłości i wszystkie te oszałamiające oskarżenia zawarte w listach Akeleya utkwily w mojej pamięci, a teraz się wyostrzyły potęgując napięcie i poczucie grozy. Cel mojej wizyty oraz związane z nim, a wykraczające poza wszelkie przyjęte normy zjawiska, straszne w swej wymowie, nagle przeszły mnie zimnym dreszczem i prawie odebrały mi zapał do tych dziwnych dociekań naukowych.

Mój przewodnik chyba zauważył, że jestem zaniepokojony, bo w miarę jak droga stawała się coraz bardziej dzika i wyboista, a samochód posuwał się powoli, co chwila podskakując, jego sporadyczne uwagi przeszły stopniowo w potok słów. Mówił o pięknie i tajemniczości tej krainy, wykazywał pewną znajomość badań folklorystycznych prowadzonych przez Akeleya. Z jego uprzejmych pytań wywnioskowałem, że świadom jest naukowego celu, z jakim wiąże się mój przyjazd, i że przywiezę ze sobą materiały niezwykłej wagi; nie dał jednak poznać po sobie, czy docenia głębię i groźbę wiedzy, jaką ostatnimi czasy posiadał Akeley.

Był pogodny, zrównoważony i bardzo uprzejmy, co powinno mi było zapewnić spokój i poczucie bezpieczeństwa; a jednak im dalej wkraczaliśmy w tę nieznaną, dziką krainę gór i lasów, tym bardziej traciłem równowagę wewnętrzną. Chwilami wydawało mi się, że chce mnie wybać, w jakim stopniu poznałem wszystkie straszne tajemnice związane z tym miejscem, przy czym niemal w każdym jego odezwaniu wyczuwało się coraz wyraźniej jakąś nieuchwytną, ale kłopotliwą familarność. Nie była to jednak naturalna, spontaniczna familarność, choć głos tego człowieka świadczył o jego kulturze. Łączyłem ją z jakimiś koszmarami nocnymi i czułem, że jeżeli je zidentyfikuję, to chyba oszaleję. Gdybym tylko potrafił wymyślić jakiś sensowny pretekst, to natychmiast bym zawrócił. Ale w tej sytuacji nie mogłem, poza tym przyszło mi na myśl, że spokojna rozmowa z Akeleyem na tematy naukowe na pewno przywróci mi wkrótce równowagę.

Niezwykłe też kojąco działało piękni tego hipnotycznego krajobrazu, który przemierzaliśmy wspinając się i opadając w sposób wprost fantastyczny. Czas zatracił się w labiryncie, jaki pozostawiliśmy za sobą, zaś wokół nas roztaczała się tylko kwoecista, rozfalowana kraina czarów, w której zawierała się całą wspaniałość minionych wieków - sędziwe lasy, dziewicze łąki opasane wesołym jesiennym kwieciami, a gdzieś tam, w dużych odstępach, małe brunatne formy, przycupnięte pośród ogromnych drzew, a poniżej rosły wroźce i wiechliny, odstępując wspaniałe zapachy. Nawet słońce miało tu niespotykany blask, tak jakby jakaś specjalna atmosfera albo też opary spowijały cały ten obszar. Nigdy jeszcze nie zetknąłem się z podobną scenerią, można by ją chyba tylko przyrównać do czarodziejskich widoków, jakie bywają tłem włoskiego prymitywnego malarstwa. Sodoma i Leonardo przedatawali takie krajobrazy, ale tylko w odległym tle i pod sklepieniem renesansowych arkad. Przedzieraliśmy się teraz śmiało przez tę scenerię i wydawało mi się, że pośród otaczających mnie czarów odnajduję coś, co znam już od urodzenia albo co odziedziczyłem, a na próżno zawsze szukałem.

Nagle, objechawszy dookoła rozwartą kąt na szczycie stromego wzniesienia, samochód się zatrzymał. Po lewej stronie, za starannie trawnikiem, który ciągnął się do drogi i obrzeżony był białymi kamieniami, wyrastał biały dwupiętrowy dom, ogromny i niezwykle elegancki, a obok, w bliskim sąsiedztwie, stojące w szeregu stodoły i wozownie, zaś z tyłu, bardziej na prawo, wiatrak. Natychmiast rozpoznałem te zabudowania, znane mi z fotografii, nie zaskoczył mnie też napis "Henry Akeley" na skrzynce pocztowej z cynkowanej blachy, znajdującej się tuż przy drodze. W pewnej odległości za domem rozciągał się błotnisty, z rzadka porośnięty drzewami teren, a za nim wznosiło się strome, porośnięte gęstym lasem wzgórze, którego postrzępiony szczyt pokrywały liściaste drzewa. Wiedziałem, że jest to wierzchołek Dark Mountain, na którą to górę musieliśmy się już wspinać do połowy jej wysokości.

Noyes wziął walizkę i wysiadł z samochodu, a mnie poprosił, abym zaczekał, aż zawiadomi Akeleya o moim przybyciu. On sam, jak wyjaśnił, ma jeszcze załatwić ważną sprawę i zaraz musi ruszać dalej. Poszedł rażnym krokiem po ścieżce prowadzącej do domu, ja zaś wysiadłem z samochodu, żeby rozprostować nogi. Teraz, kiedy znalazłem się na tym niesamowitym, wręcz schorzałym terenie, tak złowieszczo opisanym przez Akeleya w listach, znowu opanowało mnie nerwowe napięcie i aż zadrżałem na myśl o czekających mnie rozmowach, które połączą mnie z obcym i zakazanym światem.

Bliski kontakt z niezwykłym zjawiskiem częściej przeraża, aniżeli dodaje ptuchy, a świadomość, że na tym właśnie odcinku piaszczystej drogi, po bezksiężycowych nocach lęku i śmierci, znajdowały się te straszne ślady, a także cuchnąca zielona posoka, bynajmniej nie podniosła mnie na duchu. Zauważyłem mimo woli, że wokół domu wcale nie widać psów Akeleya. Czyżby je sprzedał po zawarciu pokoju z Obcymi Istotami? Mimo najlepszych chęci nie mogłem jakoś wykryć za siebie wiary w głębię i szczerość tego spokoju, jaki Akeley wykazywał w swoim ostatnim, a tak bardzo dziwnym liście. Przecież był to w gruncie rzeczy człowiek łatwowierny i niezbyt doświadczony życiowo. A może to nowe przymierze kryje w sobie jakiś ukryty, a złowroźny podtekst?

Podążając za myślami oczy moje skierowały się na piaszczystą drogę, z którą wiązały się tak straszne wspomnienia. Ostatnie dni były bezdeszczowe i znać liczne ślady na pobrużdżonej, nierównej drodze, mimo że okolica była raczej rzadko uczęszczana. Z zaciekawieniem przyglądałem się zarysom nierównomiernych śladów, starając się równocześnie powstrzymać cugle nieokiełznanej, makabrycznej fantazji, którą pobudzało tu zdjęcie i związane z nim wspomnienia. Było coś złowieszczonego i nieprzyjemnego w panującej tu pogrzebowej ciszy, w delikatnych, przytłumionych odgłosach płynących daleko potoków, w gęsto skupionych zielonych szczytach górskich i wzniesieniach pokrytych mrocznym lasem, a zamykających wąski horyzont.

Nagle do mojej świadomości dotarło coś, co pomniejszyło, prawie odebrało sens wszelkiemu poczuciu dotychczasowej grozy i rozhuśtanej wyobraźni. Wspominałem, że z zaciekawieniem obserwowałem różnorodne ślady na drodze, w pewnym jednak momencie przestało mnie to interesować, ogarnął mnie bowiem paniczny, paraliżujący strach. Chociaż ślady na piaszczystej drodze były niewyraźne i pomieszane i nie zdołałyby przyciągnąć uwagi przypadkowego widza, mój niespokojny wzrok zdołał wychwycić pewne szczegóły w miejscu, gdzie ścieżka prowadząca do domu łączyła się z główną drogą; bez żadnych wątpliwości czy złudnych nadziei rozpoznałem ich straszne znaczenie. Nie na próżno spędziłem całe godziny nad przesłanymi przez Akeleya zdjęciami, na których utrwalone zostały ślady szponów Obcych Istot. Zbyt dobrze je znałem, a także ich zagadkowy kierunek, który znamionował koszmar nie znany istotom tej ziemi. Nie było szansy na jakąś łaskawą pomyłkę. Przed moimi oczami, bez żadnej wątpliwości, widniały świeże, sprzed kilku zaledwie godzin, co najmniej trzy ślady, które wyróżniały się złowrogo wśród zdumiewająco licznych, trochę już zatartych śladów skierowanych w stronę farmy Akeleya i z powrotem. Były to diaboliczne ślady owych żywych grzybów z Yuggoth.

W porę opanowałem się i stłumiłem okrzyk. Bo przecież nie było to nic więcej, poza tym, czego mogłem się spodziewać, przyjmując, że naprawdę daje wiarę listom Akeleya. Poinformował mnie, że zawarł pokój z tymi istotami. Cóż więc dziwnego, że odwiedzają jego dom? Jednak lęk był silniejszy niż wszelkie perswazje. Czyż możliwe jest, aby na kimś, kto po raz pierwszy w życiu ujrzał ślady szponów żywych istot z dalekich przestrzeni kosmicznych, nie zrobiło to wrażenia? W tym właśnie momencie wyszedł z domu Noyes i zbliżał się do mnie rażnym krokiem. Uznałem, że muszę się opanować, bo jest bardzo prawdopodobne, iż ten sympatyczny człowiek nie ma pojęcia o prowadzonych przez Akeleya dogłębnym i tak bardzo niezwykłych badaniach.

Noyes powiadomił mnie, że Akeley ucieszył się i oczekuje mnie; co prawda z powodu nagłego ataku astmy nie będzie zdolny przez najbliższe dwa dni wypełniać roli gospodarza tak, jakby sobie życzył. Taki atak zawsze go mocno ścina z nóg, dołącza się zwykle wycieńczająca gorączka i ogólne osłabienie. Zawsze wtedy jest w złej formie - mówi szeptem, nie ma siły się poruszać. Stopy i nogi w kostkach ma spuchnięte, muszą więc być

obandażowane jak u starego, zartretyzowanego halabardnika. Dzisiaj jest szczególnie w złej formie, będę więc musiał sam się sobą zająć; mimo tych dolegliwości jest jednak skłonny do rozmowy. Znajdę go w gabinecie, na lewo z hallu. Zamknięte są w nim okiennice, bo kiedy trapi go choroba, oczy jego są szczególnie wrażliwe na światło słoneczne.

Kiedy Noyes pożegnał się ze mną i odjechał autem w kierunku północnym, ruszyłem wolnym krokiem w stronę domu. Drzwi były otwarte, ale nim wszedłem do środka, rozejrzałem się uważnie na wszystkie strony, aby się zorientować, co mnie najbardziej w tym otoczeniu zdumiewa. Stodoły i szopy wyglądały zwyczajnie, a dość sfatygowany Ford Akeley stał w przestronnym, nie zamkniętym garażu. Nagle uświadomiłem sobie, co mnie tutaj najbardziej zdumiewa. Absolutna cisza. Zwykle farma żyje choćby odgłosami zwierząt, tutaj wogóle nie było śladów życia. Gdzie są kury i świny? Akeley wspominał, że ma kilka krów, zapewne są na pastwisku, a psy chyba musiał sprzedać; jednakże brak gdakania kur czy kwiczenia świń był naprawdę zaskakujący.

Nie zatrzymywałem się jednak długo na ścieżce, tylko śmiało wszedłem do domu i zamknąłem za sobą drzwi. Był to z mojej strony akt odwagi połączony z niemałym wysiłkiem psychicznym, ale w momencie, gdy zamknąłem za sobą drzwi, zapragnąłem się natychmiast wycofać. Wnętrze wcale nie wyglądało groźnie; wręcz przeciwnie, hall w ładnym, późnokolonialnym był nawet bardzo przytulny, świadczył o dobrym smaku człowieka, który go urządzał. Chęć odwrotu powodowało coś zupełnie nieuchwytnego i nieokreślonego. Może był to jakiś dziwny zapach, choć dobrze wiedziałem, że zapach stęchlizny jest powszechnym zjawiskiem nawet w najwspanialszych starych formach.

[<- Rozdział V] [Początek] [Rozdział VII ->]

VII

Żeby wyzwolić się z niepokoju, przypomniałem sobie polecenie Noyesa i otworzyłem znajdującą się na lewo białe drzwi z sześcioma szybkami i mosiężną klamką. Pokój, jak zostałem uprzedzony, tonął w mroku, a dziwny zapach owijał mnie tu jeszcze silniej niż w hallu. Powietrze zdawało się niemal namacalnie poruszać w jakimś rytmie albo wibrować. Z początku niewiele mogłem dostrzec przy zamkniętych okiennicach, ale wkrótce dobiegł mnie ledwo słyszalny szept czy pokasywanie od strony fotela w mrocznym kącie pokoju. Po chwili z głębi mroku wyłoniły się zarysy poblądłej twarzy i rąk; wszedłem więc, aby się przywitać, usiłował bowiem coś mówić. Zorientowałem się, że jest to rzeczywiście mój gospodarz. Wielokrotnie patrzyłem na zdjęcia, toteż ta ogorzała twarz z krótko przyciętą, siwą brodą nie wzbudziła we mnie żadnych wątpliwości.

Ale kiedy spojrzałem po raz drugi, ogarnął mnie smutek i niepokój, była to bowiem twarz bardzo chorego człowieka. Wyczuwałem, że przyczyną napięcia i jakby zastygłego wyrazu twarzy oraz nieruchomych, szklistych oczu jest coś więcej aniżeli sama astma. Zrozumiałem wtedy, jak wielkie piętno wywarły na nim wszystkie te straszne przejścia. Czyż nie złamałoby każdego człowieka, młodszego nawet niż ten nieustraszony badacz nieznanego, zakazanego świata? Nagła i niespodziewana ulga, jakiej doznał, przyszła jednak za późno, aby go ocalić od tego, co można by nazwać ogólnym załamaniem. Prawdziwą litość budziły wychudłe, jakby pozbawione życia ręce, spoczywające na kolanach. Miał na sobie luźny szlafrok, głowę i szuję owiązaną jaskrawożółtym szalem albo kapturem.

Znowu zauważyłem, że próbuję coś mówić, takim samym urywanym szepceniem, jakim mnie powitał. Z początku trudno mi było zrozumieć, ponieważ siwe wąsy całkowicie zasłaniały poruszające się usta, ale coś w brzmieniu tego szepceni wielce mnie zaniepokoiło; jednakże przy skoncentrowaniu uwagi bez większego trudu chwytałem sens tego, co mówił. Akcent miał wiejski, ale formułował zdania gładko, o wiele ładniej, niż mogłem się spodziewać znając tylko jego listy.

- Pan Wilmarth, prawda? Proszę mi wybaczyć, że nie wstaję. Jestem chory, pan Noyes wprzedał pana o tym, ale nie mogłem i bardzo nie chciałem pozbawić się tej przyjemności, jaką jest dla mnie pańska wizyta. Wie pan wszystko z pstatniego mojegolistu, a jeszcze tyle mam do opowiedzenia jutro, jak będę się czuł trochę lepiej. Nie potrafisz wyrazić, jak bardzo cieszę, że mogę poznać pana osobiście po wymianie tyłu listów. Przywiózł je pan ze sobą, prawda? A także zdjęcia i zapisy fonograficzne? Pan Noyes postawił walizkę pana w hallu, sądzę, że ją tam pan zauważył. Dzisiaj będzie pan, niestety, musiał sam się sobą zająć. Pokój przygotowany jest na górze - nad tym pokojem, a przy schodach znajdzie pan otwarte drzwi do łazienki. W jadalni jest przyszykowany dla pana posiłek, proszę się obsłużyć, kiedy będzie pan miał ochotę. Jutro będę już lepszym gospodarzem, dziś jestem słaby i bezradny.

Proszę się czuć jak u siebie w domu. Listy, zdjęcia i zapisy może pan tutaj na stole, nim weźmie pan walizkę na górę. Wszystko będziemy omawiać tutaj, a mój fonograf znajduje się w rogu, na stoliku.

Nie, dziękuję, nic mi pan nie może pomóc. Znam te dolegliwości od dawna. Proszę mnie jeszcze, choćby na krótko, odwiedzić wieczorem, a potem może się pan już położyć o dowolnej porze. Ja tutaj będę sobie wypoczywał, może nawet spędzę tu noc, co mi się często zdarza. Jutro rano będę już na pewno w lepszej formie i wtedy sobie porozmawiamy. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, jak niezwykle rzeczy nas czekają. Przed nami, a takich ludzi niewielu jest na ziemi, zostają otwarte całe otchłanie czasu i przestrzeni, a także wiedzy, będącej poza zasięgiem nauki i filozofii dostępnego człowiekowi.

Czy może pan sobie wyobrazić, że Einstein się myli i pewne obiekty mogą się poruszać z prędkością szybszą niż światło? Wsparty odpowiednią pomocą, mam nadzieję cofnąć się w czasie i wybiec w przyszłość, ujrzyć i zetknąć

się namacalnie z odległą przeszłością i całymi epokami przyszłości. Nie jest pan w stanie nawet sobie wyobrazić, do jakiego stopnia te istoty rozwinęły naukę. Nie ma rzeczy niemożliwych, jeśli chodzi o umysł i ciało żywych organizmów. Zamierzam nawet zwiedzić inne planety, a nawet gwiazdy i całe galaktyki. Pierwszą wyprawę odbędę do Yuggoth, jest to najbliższy nam świat, zamieszkały przez te istoty. To bardzo dziwna, mroczna orbita znajdująca się na samym końcu naszego układu słonecznego, nie znana jeszcze astronomom na ziemi. Chyba jednak wspominałem o tym panu w liście. W odpowiednim czasie owe istoty przekażą na ziemię pewne prądy myślowe i wtedy dopiero zostanie odkryta albo też któryś z ich ziemskich sprzymierzeńców wspomni o niej naukowcom.

Na Yuggoth są potężne miasta - całe kondygnacje wzniesionych tarasowo wież, zbudowanych z czarnego kamienia, takiego jak ten gład, który usiłowałem panu kiedyś przesłać. Pochodzi właśnie z Yuggoth Słońce tam wcale nie jaśnieje niż gwiazda, ale te istoty nie potrzebują światła, mają inne zmysły, o wiele subtelniejsze, poza tym w ich wielkich domach i świątyniach nie ma okien. Światło nawet je razi, przeszkadza i krępuje, bo przecież światło nie istnieje w czarnym kosmosie, z którego się wywodzą, znajdującym się poza zasięgiem czasu i przestrzeni. Pobyt w Yuggoth przyprawiłby każdego słabego człowieka o obłąd, ja się jednak tam wybieram. Czarne, smoliste rzeki, jakie płyną pod tajemniczymi, cyklopowymi mostami - zbudowanymi przez starszą rasę, która przestała istnieć i przeszła w niepamięć, jeszcze zanim te istoty przybyły na Yuggoth z najbardziej odległych przetrzeni kosmicznych - wystarczyłyby, aby uczynić z każdego człowieka Dantego albo Poego, byle tylko zachował zdrowy umysł i mózg opowiedzieć to wszystko, co widział.

Proszę jednak pamiętać, że mroczny świat grzybiastych ogrodów i miast bez okien wcale nie jest straszny. Tylko nam może się tak wydawać. Najprawdopodobniej wydawał się też straszny owym istotom, które go po raz pierwszy odkryły w dawnych wiekach. Bo proszę sobie wyobrazić, że owe istoty były tutaj jeszcze przed końcem legendarnej epoki Cthulhu i pamiętają zatopione miasto R'lyeh, kiedy jeszcze było na powierzchni. Były również w głębi ziemi, gdzie znajdują się przestrzenie, o jakich człowiek nie ma nawet pojęcia - niektóre na przykład w pobliskich górach w Vermont - a gdzie znajdują się nieznanne nam światy, w których toczy się życie; niebiesko oświetlony K'n-yan, czerwono oświetlony Yoth i czarny pozbawiony wszelkiego światła N'kal. To właśnie z N'kal przybył straszny Tsothoggua - wie pan, ten amorficzny, przypominający żabę bóg, który wymieniony jest w "Pnakotic Manuscripts", w "Necronomicon" i w całym cyklu mitów Commoriom, zachowanych przez wielkiego kapłana Klarkash-Ton z Atlantydy.

Ale o tym porozmawiamy później. Jest już chyba godzina czwarta albo piąta. Proszę wyjąć cały materiał z walizki, coś przekąsić i potem wrócić na miłą pogawędkę.

Z wolna poruszyłem się, aby wykonać polecenie mego gospodarza; wzięłem walizkę, wyjąłem przywiezione listy, zdjęcia i zapisy fonograficzne, a następnie wszedłem na górę, do przeznaczonego dla mnie pokoju. Miałem jeszcze w pamięci świeże ślady widziane na drodze, tym bardziej więc wszystko to, co Akeley opowiedział, zrobiło na mnie wrażenie; a jego o nieznanym świecie grzybnego życia - niedostępnym Yuggoth - przeszła mnie dreszczem przerażenia. Współczułem Akeleyowi, że jest chory, ale muszę wyznać, że jego chropowaty szept budził zarówno litość, jak i odrazę. Wolałbym, żeby się tak nie upajał z powodu Yuggoth i jego mrocznych tajemnic.

Mój pokój okazał się bardzo przyjemny, nie czuło się w nim stęchlizny ani tej nieprzyjemnej wibracji; zostawiłem walizkę i szedłem na dół, aby zjeść lunch przygotowany przez Akeleya. Jadalnia znajdowała się tuż za gabinetem, a kuchnia, jak zauważyłem, jeszcze dalej, w tym samym kierunku. Na stole w jadalni była pełna taca kanapek, ciasto, ser, a tetrmos postawiony obok filiżanki ze spodkiem świadczył o tym, że gospodarz nie zapomniał o gorącej kawie. Zjadłem wszystko ze smakiem, po czym nalałem sobie trochę kawy, ale stwierdziłem, że tutaj zabrakło Akeleyowi kulinarnych umiejętności. Już przy pierwszym łyku kawa wydała mi się cierpka, więc ją odstawiłem. Podczas posiłku nie przestałem myśleć o moim gospodarzu, siedzącym samotnie w sąsiednim ciemnym pokoju. Nawet wszedłem do niego proponując, aby zjadł coś razem ze mną, ale powiedział, że jeszcze, niestety, nie może nic jeść. Później, przez samym snem, napije się trochę słodkiego mleka, bo nic więcej dzisiaj tknąć nie może.

Po lunchu posprzątałem talerze ze stołu i pozmywałem w kuchni, gdzie wylałem też kawę, która mi nie smakowała. Potem wróciłem do ciemnego gabinetu i przysunąwszy sobie krzesło bliżej fotela Akeleya, gotów byłem do rozmowy. Listy, zdjęcia i zapisy fonograficzne leżały na stole, ale na razie nie mieliśmy z nich korzystać. Wkrótce prawie całkiem zapomniałem o unoszącym się tu przykrym zapachu i dziwnej wibracji powietrza.

Wspominałem już, że pewnych spraw, o których Akeley pisał w swoich listach - zwłaszcza w drugim, najobszerniejszym - nie miałbym odwagi zacytować ani też wyrazić słowami na papierze. A wszystko, co usłyszałem owego wieczoru w tym ciemnym gabinecie, pośród samotnych, nawiedzonych gór, jeszcze bardziej mnie w tym utwierdziło utwierdziło. Nawet nie mogę nie mogę wspomnieć o tych strasznych koszmarach, jakie zostały mi objawione ochrypłym szepem. Akeley już przedtem się z nimi zaznajomił, ale to, czego się dowiedział po zawarciu paktu z Obcymi Istotami, przekracza wytrzymałość zdrowego umysłu. Nawet jeszcze teraz nie dopuszczam do siebie, nie chcę wierzyć w to, co mówił o nieskończoności, o zestawieniu wymiarów i strasznej pozycji znanego nam świata przestrzeni i czasu w bezkresnym łańcuchu połączonych ze sobą atomów, które tworzą najbliższy superkosmos linii krzywych, kątów oraz zbudowanej z materii i semimaterii ekektronicznej struktury.

Nigdy jeszcze zdrowy na umyśle człowiek nie znalazł się w takiej bliskości tajemnic fundamentalnego istnienia - nigdy jeszcze mózg organiczny nie był bliżej całkowitego unicestwienia w chaosie górującym nad formą, siłą i symetrią. Dowiedziałem się, skąd przybył Cthulhy i dlaczego połowa obecnych wielkich gwiazd zaświeciła.

Poznałem - na podstawie aluzji, i mojego gospodarza nastroiły bojaźliwie - tajemnicę kryjącą się za Obłokiem Magellana i sferycznymi mgławicami oraz czarną prawdę ukrytą w odwiecznej alegorii Tao. Została przedemną odsłonięta sama istota Doels, a także sama istota (ale nie źródło) Hounds of Tindalos. Legenda o Yigu, Ojcu Wężu, przestała już być symboliką i aż drgnąłem z odrazy, kiedy dowiedziałem się o ogromnym nuklearnym chaosie panującym za posiadającą kąty przestrzeni, która w "Necronomicon" jest łaskawie zamaskowana pod nazwą Azathoth. To naprawdę szokujące, kiedy najbardziej ohydne koszmary tajemniczyc mitów zostają wyjaśnione za pomocą konkretów, które w swojej strasznej, schorzałej symbolice przewyższają najśmielsze aluzje starożytnych i średniowiecznych mistyków. Wszystko to w sposób nieuchronny miało przekonać, że ci, jako pierwsi przekazali te przekłętą opowieści, odbyli przedtem rozmowy z Obcymi Istotami, z którymi właśnie nawiązał kontakt Akeley, i najprawdopodobniej zrobili też wyprawę do dalekich świąrów w kosmosie, jaką teraz właśnie proponował Akeley.

Opowiedział mi też o czarnym kamieniu i jego roli, byłem więc rad, że nigdy do mnie nie dotarł. Okazało się, że prawidłowo odczytałem hieroglify! A mimo to Akeley ustosunkował się pojedynczo do tego szatańskiego systemu, na jaki się natknął; mało tego, pragnął zapaść się głęboko w tę potworną otchłań. Zastanawiałem się, z jakimi to istotami przeprowadził rozmowę od ostatniego listu, jaki do mnie napisał, i czy wśród nich było więcej takich istot ludzkich, jak pierwszy emisariusz, o którym wspominał. Byłem napięty do ostatnich granic, a jednocześnie cisnęły mi się do głowy najdziwsze teorie związane z tym przedziwnym, uporczywym zapachem, jaki się tu unosił, i zdradzieckim wibrowaniem powietrza w mrocznym gabinecie.

Zapała już noc, a mnie przypominało się nagle wszystko, co Akeley pisał o poprzednich nocach, i zadrzałem na samą myśl, że może nie być księżycowa. Równie nieprzyjemna była świadomość, że farma znajdowała się tuż przy ogromnym, gęsto zalesionym stoku prowadzącym wprost do niedostępnego szczytu Dark Mountain. Akeley zgodził się na zapalenie małej lampy naftowej, tylko życzył sobie, abym przekręcił knot i postawił ją na stojącej w pewnym oddaleniu szafie bibliotecznej, obok upiornego popiersia Milтона; potem jednak żałowałem, że to zrobiłem, bo w świetle pełna napięcia, nieruchoma twarz Akeleya i spokojnie spoczywające ręce wyglądały jak nieprawdziwe i pozbawione życia. Wydawało się, że jest niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, choć zauważyłem, że co pewien czas jakby się kiwał sztywno.

Po tym, co już powiedział, nie starczyło mi wyobraźni, jakie jeszcze wielkie tajemnice może mieć do odkrycia jutro; w końcu jednak okazało się, że głównym tematem dnia jutrzejszego będzie wyprawa do Yuggoth i dalej - oraz mój ewentualny w niej udział. Popadłem w przerażenie, kiedy wspomniał o moim udziale w kosmicznej wyprawie, co go musiało ogromnie ubawić, bo głowa nagle mu aż się zatrzęsa. Opowiedział mi więc głosem łagodnym, w jaki sposób istoty ludzkie mogą to osiągnąć - parokrotnie już to miało miejsce - choć lot w przestrzeni międzygwiazdnej wydaje się zupełnie nieprawdopodobny. Okazało się, że w wyprawie takiej rzeczywiście nie może uczestniczyć całe ciało człowieka, ale Obce Istoty posiadają ogromne umiejętności chirurgiczne, biologiczne, chemiczne oraz wielką sprawność techniczną i potrafią przenieść mózg człowieka bez całej współzależnej struktury fizycznej.

Istnieje zupełnie nieszkodliwy sposób oddzielania mózgu przy jednoczesnym zachowaniu ciała przy życiu. Nagi organ mózgowy zostaje umieszczony w specjalnym płynie wewnątrz wypełnionego powietrzem cylindra, wykonanego z metalu pochodzącego z Yuggoth, przez który przechodzą specjalne elektrody i łączą się w każdej chwili z precyzyjnymi instrumentami, które są w stanie zastąpić trzy istotne zmysły; wzroku słuchu i mowy. Skrzydlate, grzybiaste istoty bez żadnego trudu przenoszą cylinder z mózgiem poprzez całą przestrzeń kosmiczną. Na każdej planecie, na której rozwinięta jest cywilizacja, posiadają pomocnicze instrumenty, które mogą być podłączone do umieszczonego w cylindrze mózgu; i tak po odpowiednim dopasowaniu podróżujący mózg zostaje obdarzony pełnymi właściwościami czucia i artykułowanego życia - mimo że pozbawiony jest ciała i mechanicznego działania - na każdym etapie podróży w przestrzeni i czasie, a także poza ich zasięgiem. Jest to równie proste, jak przeniesienie fonograficznego zapisu i nastawienie go wszędzie tam, gdzie fonograf może działać. Nie ma żadnych wątpliwości, jeśli chodzi o powodzenie tego przedsięwzięcia Akeley niczego się nie obawiał. Czyż nie dokonano już tego wielokrotnie i z pełnym sukcesem?

Po raz pierwszy Akeley uniosł nieruchomą, spoczywającą dotąd beczynną rękę i wskazał sztywno na wysoką półkę po drugiej stronie pokoju. Tam w równym szeregu, stało kilkanaście cylindrów z metalu, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem - wysokości jednej stopy i mniej więcej tegoż wymiaru średnicy, z trzema zagadkowymi wklęsłościami w równoramiennym trójkącie na wypukłym froncie każdego cylindra. Jeden z nich połączony był w dwóch wklęsłościach z dwoma dziwnie wyglądającymi aparatami stojącymi z tyłu. Ich znaczenia nie trzeba mi było wyjaśniać, przeszył mnie lodowaty dreszcz. Po chwili zauważyłem, że ręka wskazuje na jakieś zagadkowe aparaty stojące w najbliższym rogu pokoju, do których przyłączone są sznury i wtyczki, a przypominające aparaty na półce za cylindrami.

- Są tutaj cztery rodzaje aparatów, panie Wilmarth - usłyszałem cichy szept. - Cztery rodzaje - a do każdego trzy pomocnicze - to razem dwanaście. Bo widzi pan, istnieją cztery grupy różnych istot reprezentowanych przez owe cylindry tam na górze, w tym trzy istoty ludzkie, sześć istot grzybiastych, które nie mogą podróżować w przestrzeni kosmicznej cieleśnie, dwie istoty z Neptuna (Boże, żeby pan mógł zobaczyć, jak wyglądają na swojej własnej planecie) oraz istoty z centralnych pieczar na niezwykle ciekawej ciemnej gwiazdzie znajdującej się poza galaktyką. Na głównym posterunku w głębi Round Hill może pan spotkać więcej takich cylindrów i instrumentów, w których znajdują się mózgi z kosmosu, obdarzone zupełnie innymi zmysłami niż te, które są nam znane - są to sprzymierzeńcy i badacze najbardziej odległych światów - a także instrumentów dostarczających owym mózgom specjalnych wrażeń i możliwości wyrażania ich odczuć, odpowiednio do nich dopasowanych, a jednocześnie do różnego rodzaju słuchaczy. Round Hill, jak większość posterunków tych istot w całym wszechświecie, ma

charakter kosmopolityczny. Mnie, oczywiście, zostały wypożyczone dla przeprowadzenia eksperymentu tylko prostsze formy tych cylindrów.

Proszę wziąć trzy instrumenty, które panu wskazuje, i postawić je na stole. Ten wysoki z dwoma szklanymi soczewkami na froncie, potem pudełko z pustymi tubami i odgłośnikiem i pudełko z metalowym krążkiem na górze. Teraz cylinder z nalepką "B-67". Teraz proszę stanąć na tym rzeźbionym krześle i sięgnąć do półki. Ciężkie? Nie szkodzi. Tylko proszę się nie pomylić - "B-67". Niech pan nie zwraca uwagi na ten nowy, błyszczący cylinder podłączony do dwóch pomiarowych instrumentów, na którym wypisane jest moje nazwisko. Proszę postawić B-67 na stole, obok instrumentów, w takiej pozycji, żeby tarcza z przełącznikami przy wszystkich trzech instrumentach znajdowała się z lewej strony.

Teraz trzeba połączyć sznur biegnący od soczewek a gniazdkiem na górze cylindra... o tam! Następnie tubowy instrument z niższym gniazdkiem po lewej stronie i aparat z krążkiem do zewnętrznego gniazdka. Teraz proszę przesunąć wszystkie aparaty tak, żeby przełączniki znalazły się po prawej stronie - najpierw soczewka pierwsza, potem krążek pierwszy i tuba pierwsza. W porządku. Jednocześnie chciałbym pana poinformować, że tym razem jest to istota ludzka... jak każdy z nas. Inne wypróbujemy jutro.

Po dziś dzień nie rozumiem, dlaczego tak niewolniczo słuchałem szeptanych poleceń, i nie wiem, czy Akeley był zdrowy na umyśle, czy chory. Po tych wydarzeniach mogłem się właściwie spodziewać wszystkiego; ta mechaniczna maskarada wyglądała jak typowa fantazja zwiariowanych wynalazców i ludzi nauki i wzbudziła we mnie większe wątpliwości, niż niedawna dysputa. Wszystko, co ten człowiek mówił, przekraczało granice ludzkiej wiary - ale czyż inne rzeczy nie przekraczały jeszcze bardziej, a wydawały się mniej absurdalne tylko dlatego, że były tak dalekie od namacalnych, konkretnych dowodów?

Umysł mój błąkał się w zupełnym chaosie, nagle jednak dobiegło mnie skrzywienie i warkot od strony wszystkich trzech aparatów podłączonych do cylindrów, ale wkrótce zaległa cisza. Co ma nastąpić? Czyżbym miał usłyszeć głos? A nawet jeżeli tak, to jakimam dowód na to, że nie jest to jakieś specjalne, sprytnie wmontowane radio, w którym mówi ukryty i pilnie strzeżony spiker? Nawet jeszcze teraz nie miałbym ochoty potwierdzać tego, co usłyszałem, ani też tego, co się zdarzyło w mojej obecności. Coś jednak bez wątpienia się zdażyło.

Wyjaśnię to pokrótce; otóż aparat z tubami i głowicą akustyczną zaczął mówić w sposób nie budzący wątpliwości, że ktoś jest w nim rzeczywiście obecny i obserwuje nas. Głos był silny, metaliczny, bez życia, czysto mechaniczny, pozbawiony modulacji czy jakiegokolwiek ekspresji, słychać było zgrzytanie i trzaski, ale wszystko pełne szalonej precyzji i świadomego działania.

- Panie Wilmarth - powiedział - mam nadzieję, że nie przestraszę pana. Jestem taką samą istotą ludzką jak pan, tylko że ciało moje spoczywa teraz bezpiecznie, odpowiednio zasilone życiem, w głębi Round Hill, około półtorej mili na wschód od tego miejsca. Ja natomiast jestem tutaj z panem, mój mózg znajduje się w tym cylindrze, a widzę, słyszę, i mówię dzięki elektronicznym wibracjom. Za tydzień wyruszam w podróż poprzez próżnię, robiłem to już zresztą kilkakrotnie, i mam nadzieję odbyć tę podróż w miłym towarzystwie pana Akeleya. Pragnąłbym odbyć ją również i w pańskim towarzystwie. Znam pana z widzenia i z opinii, jaką się pan cieszy, śledziłem też korespondencję pomiędzy panem i jego przyjacielem. Należę do tych ludzi, którzy się sprzymierzili z Obcymi Istotami odwiedzającymi naszą planetę. Po raz pierwszy zetknąłem się z nimi w Himalajach, gdzie udzielałem im różnego rodzaju pomocy. Ja zaś dzięki nim, w rewanżu, doświadczyłem rzeczy, jakie niewielu ludziom przypadają w udziale.

Czy zdaje sobie pan sprawę, co to znaczy, kiedy powiem, że byłem już na trzydziestu siedmiu różnych ciałach niebieskich - planetach, ciemnych gwiazdach i mało zidentyfikowanych obiektach - w tym na ośmiu poza naszą galaktyką i dwóch poza zakrzywieniem czasoprzestrzeni? Wszystkie te wyprawy nie przyniosły mi najmniejszej szkody. Mózg mój został odłączony od ciała w sposób tak zręczny, że trudno by to nazwać operacją chirurgiczną. Istoty odwiedzające naszą planetę mają metody, dzięki którym oddzielenie mózgu jest czynnością łatwą i niemalże normalną - przy czym ciało, po odłączeniu mózgu, wcale się nie starzeje. Natomiast mózg, chciałbym tu dodać, podłączony do mechanicznych aparatów pomocniczych i w pewnym stopniu karmiony wymiennym co pewien czas konserwującym płynem, jest absolutnie nieśmiertelny.

Szczerze pragnę, aby się pan zdecydował na wyprawę wraz ze mną i panem Akeleyem. Istoty przybywające na naszą planetę chętnie zawierają znajomość z ludźmi posiadającymi taką wiedzę jak pan i równie chętnie pokazują olbrzymie otchłanie, o jakich nam się nie śni w najbardziej fantastycznych marzeniach. Przy pierwszym zetknięciu z nimi doznaje się dość dziwnego wrażenia, wiem jednak, że pan wstosunkuje się do tego, jak trzeba. Sądzę, że pan Noyes też się z nami wybierze, ten, który przywiózł pana tutaj swoim samochodem. Od wielu już lat należy do naszego grona, chyba rozpoznał pan jego głos, utrwalony w zapisie, jaki wysłał pan Akeley.

Widząc, że drgnąłem, mówiący przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Pozostawiam więc panu tę sprawę do rozstrzygnięcia, panie Wilmarth, dodam tylko, że człowiek, który tak żarliwie interesuje się wszystkim, co wykracza poza przeciętność, a także folklorem, powinien skorzystać z takiej szansy. Nie ma żadnych powodów do obaw. Wszelkie zabiegi są bezbolesne, można się zachwycać techniką dokonywania zmian. Kiedy odłącza się elektrody, mózg zapada w sen pełen żywych i fantastycznych marzeń.

A teraz, jeśli pan pozwoli, odłożymy nasze spotkanie do jutra. Dobranoc, i proszę odwrócić wszystkie przełączniki w lewą stronę. Teraz już nie musi pan tak dokładnie przestrzegać kolejności, ale lepiej obsłużyć aparaty z

soczewkami na końcu. Dobranoc, panie Akeley, proszę zadbać o naszego gościa. Czy już obsłużył pan przełączniki?

I to wszystko. Mechanicznie wykonałem polecenie i przesunąłem wszystkie trzy przełączniki, choć trawiły mnie rozmaite wątpliwości odnośnie tego, co się tutaj zdarzyło. W głowie miałem straszny zamęt, gdy usłyszałem szept Akeleya, który kazał mi zostawić całą aparaturę na stole. Nie skomentował ani jedną uwagą tego, co się wydarzyło, choć prawdę mówiąc, żaden komentarz niewiele by mi wyjaśnił, a może wogóle nie dotarłby do mojej skołowanej głowy. Powiedział tylko, że mogę sobie wziąć lampę do pokoju, zrozumiałem więc, że chce pozostać sam i odpocząć. Z pewnością powinien już odpocząć, popołudniowa i wieczorna rozmowa wyczerpałyby najbardziej żywotnego człowieka. Wciąż jeszcze oszołomiony powiedziałem mu dobranoc i udałem się z lampą na górę, choćmiałem wspaniałą kieszonkową latarkę.

Zadowolony byłem, że mogę opóścić ten gabinet przesycony dziwnym zapachem i nieokreśloną wibracją, ale nie mogłem, niestety, uciec od poczucia koszmarnego lęku i zagrożenia, i od kosmicznej potworności, jaką przesiąknięte było całe to miejsce, i mocy, jakie tu napotkałem. Dziki, bezludny teren, ciemny, porośły tajemniczym lasem stok góry, wznoszącej się tuż za domem, ślady na drodze, chory, nieruchomy człowiek szepczący w ciemności, diaboliczne cylindry i aparaty, a do tego jeszcze zaproszenie do niesłychanej operacji i jeszcze bardziej niesłychanych podróży - wszystko to, tak niespodziewane i tak nagłe, napierało na mnie ze zdwojoną mocą, która wyssała ze mnie całą siłę woli i prawie całkiem podkopała moje siły fizyczne.

A już szczególnie zaskoczyło mnie odkrycie, że mój przewodnik, Noyes, był celebrentem tego sabatowego rytuału utrwalonego na fonograficznym zapisie, choć przecież wyczuwałem, że ten odrażający, bezdźwięczny głos jest mi skądś znany. Byłem też głęboki poruszony moim stosunkiem do Akeleya; jego listy usposobiły mnie przyjaźnie, teraz jednak budził we mnie tylko odrazę. Powinienem mu współczuć w chorobie, a ja tylko otrząsałem się z obrzydzenia. Siedział sztywno i bezwzględnie niczym trup, a jego ustawiczny szept był jakże nienawistny i nieludzki!

Stwierdziłem, że takiego szepotu jeszcze w życiu nie słyszałem, że mimo dziwnie nieruchomych, osłoniętych wąsami ust, szept ten miał jakąś utajoną moc i roznosił się o wiele donośniej, niż można by się tego spodziewać po charczącym astmatyku. Słyszałem go i rozumiałem z każdego miejsca w pokoju, a parę razy wydało mi się nawet, że ten cichy, lecz przenikliwy głos, wcale nie świadczył o słabości, ale jest świadomie przytłumiony - tylko że nie mogłem się zorientować, z jakiego powodu. Od samego początku coś mnie niepokoiło w brzmieniu tego głosu. Teraz, kiedy zacząłem się nad tym zastanawiać, doszedłem do wniosku, że głos ten budził we mnie podobne odczucia, jak głos Noyesa, tak dziwnie złowieszczy. Ale kiedy i gdzie zetknąłem się z czymś, co spowodowało takie skojarzenia, nie potrafiłem powiedzieć.

Jednego byłem pewien - nie spędzę już w tym domu następnej nocy. Cały mój naukowy zapał zatracił się w lęku i odrazie, pragnąłem tylko, aby się jak najprędzej wydostać z tego siedliska choroby i nienaturalnych zjawisk. Wystarczy mi to, czego się dowiedziałem. Niewątpliwie muszą istnieć jakieś powiązania ze wszechświatem - są to jednak zagadnienia, z którymi normalny człowiek nie może mieć do czynienia.

Wydawało mi się, że zewsząd otaczają mnie jakieś bluźniercze siły, że napierają na wszystkie moje zmysły, że się po prostu duszę. O spaniu mowy być nie mogło, zgasilem tylko lampę i rzuciłem się w ubraniu na łóżko. To na pewno absurd, ale przez cały czas byłem w pogotowiu na wypadek niespodziewanego zagrożenia; w prawym ręku trzymałem rewolwer, który ze sobą przywiozłem, a w lewym latarkę. Z dołu nie dochodziły żadne odgłosy, oczami wyobraźni widziałem jednak, że mój gospodarz siedzi w ciemności sztywny jak trup.

Rozległo się tykanie zegara i doznałem ulgi słysząc te normalne dźwięki. Ale z kolei uświadomiłem sobie jeszcze jedną niepokojącą rzecz - absolutny brak zwierząt na tym terenie. Z pewnością nie było na farmie zwierząt gospodarskich, ale nie słychać też było tak typowych nocą odgłosów dzikiej zwierzyny. Gdzieś tylko z dali dolatywał złowrogi szum niewidzialnych rzek, ale poza tym wokoło zalegała cisza, nienormalna, międzyplanetarna. Zastanawiałem się, jaka to niepojęta, zrodzona wśród gwiazd klątwa wisi nad tą ziemią. Przypominały mi się stare legendy, wedle których psy i inne zwierzęta nie cierpiały Obcych Istot, a jednocześnie zastanawiałem się, co mogą oznaczać widziane przeze mnie ślady na drodze.

[<- **Rozdział VI**] [**Początek**] [**Rozdział VIII** ->]

VIII

Nie należy mnie pytać, jak długo trwała moja drzemka, w którą nieoczekiwanie zapadłem, albo też ile z tego, co się potem zdarzyło, było zwykłym snem. Jeżeli powiem, że w pewnym momencie się zbudziłem, że usłyszałem i zobaczyłem różne rzeczy, ktoś może powiedzieć, że się po prostu wcale nie zbudziłem i że wszystko było snem, aż do momentu, kiedy wypadłem z domu, pomknąłem do szopy, w której przedtem zauważyłem stojącego tam starego Forda, wskoczyłem do tego wehikułu i puściłem się szalonym pędem, nie bacząc na kierunek, poprzez te nawiedzone wzgórza, które w końcu zawiodły mnie - po całych godzinach podskakiwania na nierównościach i krążenia pośród groźnych labiryntów leśnych - do wsi Townshend.

Zapewne też nie spotka się z uznaniem to wszystko, co zawarłem w moim raporcie; można bowiem twierdzić, że zdjęcia, głosy utrwalone przez fonograf i dobywające się z cylindra oraz wszelkie inne, podobne im dowody były po prostu zwykłym oszukiwaniem, jakie na mnie praktykował nieosiągalny już Henry Akeley. Można również przypuszczać, że miał spisek z innymi ekscentrykami i razem uknuli ten głupi i bardzo wymyślny figiel, że miał

ekspresową agencję wysyłkową w Keene, a zapisy fonograficzne wykonał dla niego Noyes. Dziwny wydaje się fakt, że jak dotąd Noyes nie został zidentyfikowany, nikt nie znał go w żadnej z pobliskich wsi, choć z pewnością często bywał na tym terenie. Ciągłe usiłuję sobie przypomnieć numer rejestracyjny tego samochodu, czasem nawet wolałbym już z tego zrezygnować, ale może lepiej, żebym nie rezygnował. Bo mimo wszystko, co można na ten temat powiedzieć i co ja sam nieraz usiłuję sobie mówić, wiem że w tych niezbadanych górach czają się odrażające wpływy świata zewnętrznego i że mają swoich szpiegów i emisariuszy w świecie zamieszkałym przez ludzi. Jedyne, czego pragnę w dalszym życiu, to trzymać się z daleka od tych wpływów i tych emisariuszy.

Po mojej przerażającej opowieści szeryf wysłał oddział swoich ludzi na farmę, ale Akeley zniknął bez śladu. Szlafrok, żółty szal i bandaże, którymi miał owiązane nogi, leżały w gabinecie na podłodze koło fotela stojącego w rogu, nie wiadomo natomiast, co się stało z resztą jego garderoby, może zniknęła razem z nim. Nie było psów, ani żadnego inwentarza żywego, na ścianach zewnętrznych domu, a także i wewnątrz, widniały ślady po kulach. Nic jednak więcej nie zdołano tu zauważyć, co by mogło zwrócić uwagę. Nie było żadnych cylindrów ani aparatów, materiałów, jakie przywiozłem w walizce, zniknął dziwny zapach i poczucie wibracji w powietrzu, ślady na drodze, nie pozostało nic z tych wszystkich dziwów, które jeszcze tak niedawno oglądałem.

Po mej ucieczce jeszcze przez tydzień przebywałem w Brattleboro i rozmawiałem z różnymi osobami, które znały Akeleya; w rezultacie przeprowadzonych rozmów upewniłem się tylko, że całe wydarzenie nie było zjawą senną ani ułudą. Faktem niezbitym był zakup przez Akeleya psów, amunicji i chemikaliów, a także przecinanie przewodów telefonicznych; natomiast ci, którzy go znali - łącznie z jego synem w Kalifornii - uważali, że jego okazjonalne wzmianki o przeprowadzanych dziwnych badaniach nie były pozbawione logiki. Różni godni zaufania obywatele twierdzili, że był szalony, i bez cienia wątpliwości uważali wszystkie wymienione dowody za zwykłe oszustwo spreparowane z chorobliwym sprytem przy udziałw ekscentrycznych, współdziałających z nim ludzi; natomiast zwykli, prości ludzie na wsi zgadzali się z każdym szczegółem jego zeznań. Pokazywał tym wieśniakom niektóre zdjęcia, a także czarny kamień, przesłuchiwał z nimi ten straszny zapis fonograficzny; wszyscy orzekli, że zarówno ślady, jak i bzyzczący głos znajdują potwierdzenie w starych legendach.

Mówiono też, że kiedy Akeley znalazł czarny kamień, wokół jego farmy zaczęło się dziać coś dziwnego, rozlegały się jakieś głosy. Wszyscy zaczęli unikać tego miejsca, poza listonoszem albo jakimiś przypadkowymi, ale odpornymi nerwowo ludźmi. Dark Mountain i Round Hill są wciąż jeszcze nawiedzane i nie znalazłbym nikogo, kto by kiedykolwiek usiłował tam dotrzeć. Pobliscy mieszkańcy dobrze wiedzieli, że od dawna już znikają co pewien czas z tych okolic różni ludzie, a ostatnio zniknął nawet znany włóczęga Walter Brown, o którym Akeley wspominał w listach. Udało mi się spotkać farmera, który widział dziwne ciała płynące z nurtem West River, jednakże jego opowieść zbyt zagmatwana aby można ją potraktować poważnie.

Kiedy opuściłem Brattleboro, postanowiłem, że już nigdy więcej nie wrócę do Vermont, i jestem przekonany, że wytrwam w swoim postanowieniu. W tych dzikich górach z pewnością istnieje placówka owej strasznej rasy z kosmosu, kiedy przeczytałem wiadomość, że za Neptunem dostrzeżono nową, dziewiątą planetę, jak zapowiedziano u Akeleya, mam coraz mniej wątpliwości. Astronomowie, w sposób niezwykle prawidłowy, z czego pewnie wcale nie zdawali sobie sprawy, nazwali ją "Pluto". A ja uważam, a nawet mam pewność, że jest to właśnie spowite wiecznym mrokiem Yuggoth. Przyznam się, że przeszywa mnie dreszcz lęku, kiedy rozmyślam, dlaczego te straszne istoty zapragnęły, aby właśnie teraz ta planeta stała się znana na ziemi. Staram się zachować spokój i wierzyć, że te demoniczne stwory nie stosują jakiejś nowej taktyki, która ma wyrządzić krzywdę ziemi i jej mieszkańcom, ale nie przychodzi mi to łatwo.

Wciąż jednak nie opisałem jeszcze, w jaki sposób skończyła się moja straszna noc na farmie. Jak już wspominałem, zapadłem w dość przykrą drzemkę, podczas której w sennej jawie przesówały się przed moimi oczami straszne krajobrazy. Nie potrafię jednak powiedzieć, co mnie zbudziło, ale jestem pewien, że zbudziłem się w tym konkretnym momencie. Najpierw usłyszałem skrzypnięcie podłogi w hallu przy moich drzwiach i nieprzyjemne, stłumione gmeranie w zamku. Natychmiast jednak ustało; ale najbardziej jasno uświadomiłem sobie głosy, jakie mnie dobiegły z gabinetu na parterze. Wydawało mi się, że jest tam kilka osób, a rozmowa jest mocno kontrowersyjna.

Po kilku chwilach nasłuchiwania byłem już na dobre rozbudzony, gdyż głosy te miały takie brzmienie, że myśl o spaniu każdemu wydałaby się śmieszna. Ich tonacja była dość zróżnicowana, a jeśli komuś zdarzyłoby się wysłuchać kiedykolwiek zapisów fonograficznych, przestałby mieć wątpliwości, co do dwóch przynajmniej głosów. Choć myśl ta była straszna, zdawałem sobie sprawę, że znajduję się pod jednym dachem z owymi niesłychanymi istotami z przepastnych przestworzy; te dwa głosy to było owo bluźniercze bzyczenie, jakim Obce Istoty posługują się przy porozumiewaniu z ludźmi. I w tym przypadku zaznaczyła się pewna różnica - w brzmieniu, akcencie i tempie - ale mimo to należały do tego samego ohydneho gatunku.

Trzeci głos dobywał się z pewnością z aparatury połączonej z jednym z mózgow, znajdujących się w cylindrach. Było to równie pewne, jak samo bzyczenie, bo ten donośny, metaliczny głos bez życia, jaki słyszałem z wieczora, z jego pozbawionym fleksji i wyrazu zgrzytaniem i rżeniem, z bezosobową precyzją i rozwagą, był niezapomniany. Wtedy to zadałem pytania, czy za tym zgrzytaniem kryje się taki sam mózg, jaki uprzednio do mnie przemawiał; potem jednak zrozumiałem, że każdy mózg wyda z siebie podobny głos, jeżeli zostanie podłączony do tego samego aparatu mowy; różnice mogą się tylko przejawiać w samym języku, rytmie prędkości i sposobie wymowy. W tej ohydnej rozmowie brały udział dwa głosy ludzkie - jeden przynależał do niezanego mi wieśniaka, a drugi, z łagodnym bostońskim akcentem, był głosem mojego niedawnego przewodnika, Noyesa.

Usiłowałem wyodrębnić poszczególne słowa, jakie padały na parterze, ale jednocześnie świadom byłem, że odbywa się tam pospieszna krzątanina, chrobotanie i przesuwanie; nie mogłem pozbyć się wrażenia, że pokój pełen jest żywych istot - było ich znacznie więcej poza tymi, których mowę odróżniałem. Trudno dokładnie opisać ich chrobotanie, bo nie sposób tego z niczym porównać. Tak jakby się poruszały po pokoju istoty świadome; odgłos ich kroków przypominał beładne stukanie czymś twardym - z rogu albo stwardniałej gumy. Dla bardziej konkretnego, ale mniej dokładnego porównania można by powiedzieć, że ludzie w luźnych drewniakach szurali i stukali w wyfroterowaną podłogę z desek. Nawet nie miałem odwagi wyobrazić sobie, kim są i jak wyglądają istoty odpowiedzialne za te hałasy.

Wkrótce zorientowałem się, że nie zdołałem uchwycić sensu tej rozmowy. Co pewien czas do moich uszu docierały poszczególne słowa - w tym nazwisko Akeleya i moje - zwłaszcza wtedy, kiedy były wypowiedziane przez mechaniczny aparat produkujący mowę; ich prawdziwy sens gubił się jednak w braku ciągłości myśli. Dziś już nie potrafię tego odtworzyć i nawet straszliwe wrażenie jakie to na mnie wywarło, jest już raczej kwestią przypuszczenia aniżeli odkrycia. Byłem pewien, że na dole, pode mną, zgromadziło się jakieś straszliwe, niezwykle konklawe, ale nad czym, tak bardzo bulwersującym, radzili, tego nie wiedziałem. Akeley, co prawda, zapewniał mnie o przyjacielskim stosunku Obcych Istot, ja jednak czułem, że kryje się w tym bluźniercze zło.

Wsluchując się pilnie, zacząłem z czasem rozróżniać poszczególne głosy, choć nadal nie chwytałem ich sensu, a także wyczuwać dość charakterystyczne stany emocjonalne. W jednym z bzyjących głosów, na przykład, wyczuwałem niewątpliwą władczość; z kolei zaś mechaniczny głos, mimo, że sztucznie donośny i równy, zdawał się zajmować pozycję podległą i obronną. Głos Noyesa świadczył o stosunku pojedynczym. Innych nie potrafiłem scharakteryzować. W ogóle nie słyszałem znajomego mi szeptu Akeleya, ale wiedziałem przecież, taki szept nie zdoła przeniknąć przez solidny strop pomiędzy gabinetem a moim pokojem.

Spróbuję odtworzyć kilka poszczególnych słów i innych dźwięków, w miarę możliwości odpowiednio określając mówiących. Najpierw zdołałem dokładniej uchwycić jakieś fragmenty zdań wypowiedzianych przez mówiący aparat.

(Mówiący aparat)

...przynies do mnie... odesłać listy i zapis fonograficzny... zakończyć na tym... wziąć... wzrok i słuch... nie szkodzi... bezosobowa siła, mimo wszystko... nowy, błyszczący cylinder... dobry Bóg...

(Pierwszy bzyjący głos)

...czas, abyśmy przestali... mały i ludzki... Akeley... mózg... mówiący...

(Drugi bzyjący głos)

... Nayarlathothep... Wilmarth... zapisy i listy... tanie szalbierstwo...

(Noyes)

...(trudne do wymówienia słowo albo nazwisko, prawdopodobnie N'gah-Kthun)...nieszkodliwy... spokoj... kilka tygodni... teatralne... powiedziałem już przedtem...

(Pierwszy bzyjący głos)

...nie ma powodu... zasadniczy plan... efekty... Noyes może dopilnować... Round Hill... nowy cylinder... samochód Noyesa...

(Noyes) ...dobrze... wszystko wasze... tutaj na dole... reszta... miejsce...

(kilka głosów jednocześnie - rozmowa niezrozumiała)

(Liczne kroki, w tym także to szczególne stukanie i szuranie luźnych drewniaków)

(Dziwne odgłosy człapania)

(Odgłos zapalonego silnika i oddalającego się auta)

(Cisza)

To wszystko, co pochwyliły moje uszy, kiedy leżałem w napięciu na łożku, w tej nawiedzanej farmie, pośród demonicznych gór... w ubraniu, z rewolwerem w zaciśniętej dłoni i kieszonkową latarką w drugiej. A leżałem, jak już zaznaczyłem, całkowicie sparaliżowany i nie ruszałem się, choć echo tych odgłosów już dawno zamilkło. Gdzieś z daleka na dole dochodziło głuche, miarowe tykanie starego zegara z Connecticut, a wkrótce dotarło do mnie chrapanie. Akeley musiał wreszcie zasnąć po skończeniu tej dziwnej narady i bardzo mu to było napewno potrzebne.

Nie mogłem się zdobyć na decyzję, co robić w tej sytuacji. Bo przecież usłyszałem tylko to, czego się mogłem spodziewać na podstawie uzyskanych wcześniej informacji, nic więcej. Dobrze też wiedziałem, że Obce Istoty mają wolny dostęp do farmy. A jednak Akeley był najwyraźniej zdziwiony ich niespodziewaną wizytą. Lecz coś w zasłyszanych fragmentach ich dyskusji zmroziło mnie na wskroś, wzbudziło tak groteskowe i straszne wątpliwości, że zapragnąłem, aby się to okazało tylko snem. Myślę, że podświadomie coś wyczuwałem, czego świadomość nie mogła jeszcze objąć. Ale jak ma się sprawa z Akeleyem? Czyżby nie był on moim przyjacielem, czyżby nie zaprotestował, gdyby miało mi grozić jakieś niebezpieczeństwo? Rozlegające się na dole spokojne chrapanie zdawało się naśmiewać ze wszystkich moich, tak nagle narosłych obaw.

Możliwe to, że Akeleya oszukano i posłużono się nim jako przynętą, aby wyciągnąć mnie w te góry wraz z listami, zdjęciami i zapisem fonograficznym? Czyżby te istoty zamierzały zniszczyć nas obu dlatego, że za dużo wiemy? Znowu przyszła mi na myśl ta nagła i niezwykle zmiana sytuacji, która znalazła odbicie w jego ostatnich listach. Instynktownie czułem, że dzieje się coś bardzo złego.

Wszystko wygląda zupełnie inaczej, niż się spodziewałem. A ta cierpka kawa, której nie wypilem... czy Obce Istoty nie miały mnie oszołomić jakimś narkotykiem? Muszę natychmiast porozmawiać z Akeleyem i przywołać go do rzeczywistości. Zahipnotyzowali go obietnicami odkryć kosmicznych, ale teraz musi posłuchać głosu rozsądku. Trzeba nam stąd uciekać, nim będzie za późno. Jeśli nie starczy mu siły woli, żeby się z tego wyrwać, ja go wspomogę. A jeśli nie zdołam go przekonać, to przynajmniej sam się wydostanę. Chyba pozwoli mi wziąć swego Forda, zostawię go w garażu w Brattleboro. Widziałem, że stał w szopie - drzwi były w nim zamknięte, dobry znak - gotów był do natychmiastowego użytku, więc niebezpieczeństwo można już było zaliczyć do przeszłości. Chwilowa niechęć do Akeleya, która była skutkiem naszej wieczornej rozmowy, już mi przeszła. Obaj znaleźliśmy się w podobnej sytuacji i musimy się trzymać razem. Wiedząc, że jest chory, nie miałem ochoty go budzić, ale było to konieczne. Nie mogłem przecież pozostać w tym domu aż do rana.

Wreszcie, zdolny już do działania, przeciągnąłem się, żeby rozluźnić mięśnie. Pod wpływem raczej impulsu aniżeli rozwagi wstałem ostrożnie, włożyłem kapelusz na głowę, wzięłem walizkę i przyświecając sobie latarką zacząłem schodzić na dół w ogromnym napięciu nerwowym. Rewolwer trzymałem w zaciśniętej prawej ręce, a walizkę i latarkę w lewej. Sam nie wiem, dlaczego zachowałem takie środki ostrożności, bo przecież miałem obudzić tylko jeszcze jednego mieszkańca tego domu.

Kiedy po skrzypiących schodach zszedłem do hallu, usłyszałem jeszcze wyraźniejsze chrapanie, ale dochodziło z pokoju znajdującego się po lewej stronie - z salonu, w którym jeszcze nie byłem. Z prawej ział czarną nocą gabinet, w którym słyszałem niedawno rozmowę. Pchnąłem nie domknięte drzwi salonu przyświecając sobie latarką i kierując światło w stronę śpiącego. Natychmiast jednak odwróciłem się i wycofałem bezszelestnie, tym razem już nie instynktownie, ale kierowany rozsądkiem. Na kanapie spał nie Akeley, ale mój były przewodnik Noyes.

Nie miałem pojęcia, jak naprawdę przedstawia się sytuacja, ale zdrowy rozsądek nakazywał mi dowiedzieć się jak najwięcej, zanim kogokolwiek obudzę. Zamknąłem cicho drzwi od salonu, żeby nie obudzić Noyesa i ostrożnie wszedłem do gabinetu spodziewając się tam znaleźć Akeleya, śpiącego, czy rozbudzonego, w fotelu, najwidoczniej jego ulubionym miejscu odpoczynku. W blasku latarki dostrzegłem najpierw duży stół pośrodku gabinetu, na nim jeden z tych piekielnych cylindrów z podłączonymi aparatami wzroku i słuchu oraz z aparatem mowy stojącym w pobliżu, a uszykowanym do podłączenia w każdym momencie. Pomyślałem, że w nim napewno znajduje się mózg, który słyszałem podczas tej strasznej konferencji; przyszła mi ochota, żeby go na chwilę podłączyć i usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Był zapewne świadom mojej obecności; podłączone aparaty wzroku i słuchu odnotowały blask mojej latarki i skrzypienie podłogi. Nie miałem jednak odwagi manipulować przy tej aparaturze. Zauważyłem tylko, że był to nowy, błyszczący cylinder z nazwiskiem Akeleya, który wieczorem stał na półce i na który miałem nie zwracać uwagi. Teraz, patrząc wstecz, żałuję, że brakło mi odwagi i nie posłuchałem tego, co mógłby mi powiedzieć. Bóg jeden wie, jakie tajemnice, jakie straszne wątpliwości i czyją tożsamość byłby mi wyjaśnił! Wtedy jednak uznałem, że lepiej to zostawić w spokoju.

Skierowałem następnie latarkę w róg pokoju, gdzie spodziewałem się znaleźć Akeleya, ale ku memu zaskoczeniu stwierdziłem, że wielki fotel jest pusty, nie ma w nim ani śpiącego ani rozbudzonego Akeleya. Natomiast z fotela na podłogę opadał jego obszerny, stary szlafrok, zaś obok na podłodze leżał żółty szal i długi bandaż, którym owinięte były jego nogi, co wydało mi się takie dziwne. Kiedy tak stałem pełen wątpliwości i zastanawiałem się, gdzie może się znajdować Akeley i dlaczego tak nagle porzucił strój, jaki miał na sobie z powodu choroby, stwierdziłem, że już nie czuję tu tego dziwnego zapachu ani wibracji. Czym były spowodowane? Nagle uświadomiłem sobie, że najbardziej odczuwałem je w pobliżu Akeleya, a zwłaszcza koło fotela; następnie w całym gabinecie, ale już słabiej, a także w hallu, w pobliżu drzwi gabinetu. Reszta domu była wolna od zapachu i wibracji. Przesunąłem latarkę po całym gabinecie łamiąc sobie głowę nad tym, co się tu mogło zdarzyć.

Lepiej byłoby dla mnie, gdybym zostawił to miejsce w spokoju i nie oświetlał raz jeszcze pustego fotela. W rezultacie nie opuściłem tego domu bezszelestnie, wydałem z siebie bezszelestny okrzyk, który mógł zaniepokoić i rozbudzić śpiącego po wartownika. Ten krzyk i nieprzerwane chrapanie Noyesa to odgłosy, jakie zapamiętałem z tego pełnego patologicznych zjawisk domu u stóp nawiedzonej góry, której szczyt porosły jest czarnym lasem - a będącej siedliskiem transkomicznego horroru pośród samotnych zielonych wzgórz i szemrzących kłętwe potoków, przecinających widmowy, dziki krajobraz.

Sam nie wiem, jak to się stało, że podczas tego chaotycznego szperania w gabinecie nie upuściłem latarki, walizki i rewolweru i że zdołałem je przy sobie zachować. W końcu jednak wydostałem się z pokoju, a potem z tego domu, zachowując ciszę. Dowlokłem się bezpiecznie do Forda i wrzucając swoje rzeczy do środka, zasiadłem przy kierownicy. Udało mi się uruchomić ten stary wehikuł i pomknąć przez czarną, beksiężycową noc ku nieznannej, bezpiecznej przystani. Moja jazda tym wehikułem przypominała majaki z utworów Poego albo Rimbouda czy też obrazów Dore'a, w końcu jednak udało mi się dotrzeć do Townshend. I to już wszystko. Jeżeli nie ucierpiało moje zdrowie psychiczne, to miałem szczęście. Czasami jednak lękam się, co przyniosą następne lata, zwłaszcza teraz, kiedy niespodziewanie wykryto nową planetę Pluton.

Jak już wspominałem, poświeciwszy najpierw latarką po całym pokoju skierowałem ją znowu na pusty fotel i wtedy zauważyłem tam po raz pierwszy trzy przedmioty ukryte w luźnych fałdach leżącego tam szlafroka. Kiedy trochę później przybyli tam ludzie szeryfa, już zniknęły. Zaznaczyłem, że nie było w tym nic specjalnie koszmarnego. Najgorsze były wnioski, jakie się mimo woli nasuwały. Nawet jeszcze teraz przychodzą na mnie chwile wątpliwości i wtedy jestem całkiem bliski sceptycyzmu tych ludzi, którzy przypisują wszystkie te moje

przeżycia sennej jawie, nerwom albo też złudzeniu.

Owe trzy rzeczy były skonstruowane mistrzowsko i zaopatrzone w pomysłowe metalowe klamry, celem podłączenia do części organicznych, na temat których nawet teraz nie śmiem snuć żadnych przypuszczeń. Mam nadzieję... głęboką... że były to przedmioty z wosku, wykonane z prawdziwym mistrzostwem, choć w skrytości ducha jestem pełen różnych obaw. Wielki Boże ! Ten szepczący w ciemności człowiek i ten chorobliwy zapach, jaki się wokół niego unosił, i ta wibracja w powietrzu ! Czarownik, emisariusz odmieniec, przybysz z innego świata... koszarne, przytłumione bzyczenie... i przez cały czas w tym nowym, błyszczącym cylindrze na półce... biedaczysko... "Niesłychana zręczność chirurgiczna, biologiczna i mechaniczne..."

Albowiem te trzy przedmioty leżące w fotelu, doskonałe aż po najdrobniejsze szczegóły, odznaczające się wprost mikroskopijnym podobieństwem... identyczne... to była twarz i ręce Henry Wentwortha Akeleya.

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[<- **Rozdział VII**] [**Początek**]